



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

WIECZYSTE PIĘKNO.

Wieczyste piękno daremno dla ślepych
Roztacza w koło barw i blasków przepych,
Daremnie jasne promienie, jak gońce,
Posyła ziemi to duchowe słońce,
Gdy nie ma oczu, którym światła promień
Mógłby otworzyć drogę uwidomień,
I ponad błotem skrwawionych trzęsawisk,
Ponad prądami mijających zjawisk,
Ukazać bytu źródło słoneczne, złoty,
Przenikający kolejne żywoty,
I ciągły przypływ tej świetlanej fali,
Co łańcuch istnień wiecznie doskonali.

Lecz chociaż dotąd jeszcze ziemskie rody
Nie widzą wyższej harmonii i zgody,
I błądzą w cieniu bezsłonecznych krajin,
Z piętnem przekleństwa, jakie nosił Kain—
To wciąż powoli istniejąca siła
Potrzebne zmysły będzie im kształciła.
I tak, jak niegdyś pod fal światła wpływem
Ślepy twór na świat błysnął okiem żywym,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

A gdy do światła otworzy swe oczy,
Ze wstrętem spojrzy na krew, co ją broczy,
Na posiew zemsty, który się odnawia
Z ziarn jadowitych krzywdy i bezprawia,

Na barbarzyństwa szalejący nierząd,
Co świat napelnia walką dzikich zwierząt,
Na źródła szczęścia zatrute tak marnie,
Przez dobrowolnie stwarzane męczarnie....
Spojrzy ze wstydem—i jak z snu zbudzona
Ku czystem blaskom wyciągnie ramiona,
I pokieruje swoje przyszłe dzieje,
Gdzie piękno, dobro i prawda jaśnieje....

El-y.

POGA WĘDKA

Karnawał tegoroczny przyniósł nam dotychczas dwie nowości: reformę kadryla i krawaty z malowanymi kwiatkami. Ogromnie ważne nabytki!... dziwię się, że tego rodzaju wynalazki nie są patentowane.

Co do kadryla, nie mogę nic jeszcze powiedzieć, bo go według nowej modły nie tańczyłem i zapewne tańczyć nie będę; co do krawatów balowych, śmiem twierdzić, iż nie są wcale ładniejsze od dawnych, a te po fontaziach łażące muszki, zuzule, chrząszczyki i motylki wydać się muszą każdemu dodatkiem niesmacznym, choćby z tego względu, że im lepiej są malowane, im więcej mają plastyki, tem więcej chce się je przyczkiem stracić z szyi modnemu kawalerowi, aby mu taki owad... nie wlaźł za kołnierz.

Przypuszczam, że malowane krawaty doczekają się losu czerwonych fraków, a świat pójdzie swoją drogą dalej.

Jakoś dotąd nie słyhać o hucznych zabawach, Warszawa nabrała cnoty z konieczności, stała się oszczędną, nie baluje, nie zbytkuje, poprzestaje na skromnych wieczorkach, ale mi się zdaje, że

się tylko przyczaiła do czasu i w drugiej połowie karnawału powetuje sobie jeszcze chwilowy przy-
mus.

O ciężkiej chwili nie przestaje się mówić z westchnieniem coraz głębszem; bieda i bieda jednokowa; nawet żebranina już nie popłaca, odkąd na każdych niemal drzwiach od ulicy poprzybijano metalowe znaczki, uwalniające od dawania jałmużny.

Firmy trzęsą się, jak galareta; kto nie upadł, jak długi, czeka tej ewentualności z rezygnacją, bo wie przynajmniej, że, raz już leżąc, drugi raz upadać nie potrzebuje.

Objawem stagnacyi, jednym z tysięcy, jest odezwa cechu krawieckiego rozesłana po prowincyi do czeladników tego kunsztu, aby się nadarmo do Warszawy nie trudzili po robotę, bo dla miejscowych sił jej zbrakło. Wiele innych cechów mogłoby pójść za przykładem krawców i powstrzymać tę przezorną radą swych towarzyszy od bezcelowej pielgrzymki ku tej Mecce, w której sami święci turecy siedzieć muszą z założonemi rękoma i kiwać głowami nad swoim smutnym losem.

Powiadano mi, no, i czytam w *Kuryerach* prawie codziennie, że jeszcze najlepsze interessa stosunkowo robią wystawcy w Muzeum, bo im obstarunki, jeśli nie płyną, to przynajmniej sączą się kropla po kropli. Chwała Bogu! byle tylko w tych reporterskich doniesieniach nie było tyle prawdy, ile jej mieściła wiadomość o owym mecenasie sztuk pięknych, który podobno za „Rozkoszne marzenia” p. Suchorowskiego na wystawie Krywulta ofiarowywać miał już artyście 20,000 rs. gotówką.

Nie widzieliście tego obrazu,—na seryo?... a to szkoda, bo jest na nim świetnie malowany gobelin i dywan perski i skóra niedźwiedzia, i kotara axamitna, i perły, i kwiaty, i jeszcze ktoś, o kim nie mogę mówić szczegółowiej, bo musiałbym wchodzić w analizę „marzeń”, które p. Sucho-

rowski przedstawia pędzlem fizjologa, nie psychologa.

Pan Suchorowski jest bardzo miłym człowiekiem, niegdyś kształcił się na muzyka, ale muzykę poświęcił dla malarstwa, od dwudziestu siedmiu lat zamieszkał w Petersburgu, gdzie najpierw portretował żywych śmiertelników, a potem nieżywych świętych, w końcu sprzykrzyło mu się być nieznanym w Europie, więc zrobił konterfekt Zolowskiego „Nany” (czy mam powiedzieć: „z przeproszeniem?”) i od trzech lat jest sławnym w kraju i zagranicą.

„Nana” przyniosła mu podobno przeszło sto tysięcy rubli dochodu; to piękna sumka, ale nie dziwi mnie wcale: takie bohaterki mają szczęście do pieniędzy. Obecnie artysta w przeciagu dwóch miesięcy wymalował drugi obraz w tym samym rodzaju, p. t.: „Rozkoszne marzenia” i ma nadzieję zebrać drugie sto tysięcy w Wiedniu, Paryżu i Londynie.

Effekta plastyki podniesione sztawkami optyki, oświetleniem, otoczeniem w umyślnie urządzonej budoarze, w którym ta malowana „marchalka” przyjmuje wizyty, sposób malowania realistycznego stanowia obok tematu wabik dla publiczności, cisnącej się do obrazu, jak do jakiejś osobliwości *su generis*.

Nie powiem, żeby to był zdrowy smak i objaw znawstwa, ale stwierdzić muszę, iż rozwija się u nas coraz bardziej zainteresowanie się obrazami, na których niewiele się jeszcze rozumiemy, jednak przyzwyczajamy się patrzeć na nie z zajęciem. I to już postęp.

Komitet Towarzystwa Zachęty przyczynia się do tego nie mało, trzeba mu tę zasługę przyznać bezstronnie; nie ustaje w pracy dla pożytku sztuki i instytucji jej poświęconej, sprowadza ciągle coś nowego na wystawę, kupuje kilka razy do roku (zarzucają mu, że za tanio), obrazy polskich malarzy, rozpisuje konkursy i krząta się gorliwie w zakresie swych obowiązków.

Obecnie będziemy mieli po „Joannie d'Arc” Matejki, kolekcję płócien Brandta i wystawę utworów konkursowych w naszym artystycznym Salonie; potem znów konkurs malarski z zapisu ś. p. Kuryerowa, a potem zapewne jeszcze, coś i tak dalej, przez cały rok.

Zauważyłem niegdyś, że żyjemy w epoce konkursów; nowy rok trzyma się widocznie pod tym względem tradycyi swego poprzednika. Dla pracowników pióra, pędzla i ołówka coraz szersze otwierają się szranki do bezkrwawych turniejów, w których krew się nie leje, ale często psuje, i to bardzo, w sercach pokonanych współzawodników.

Ubiegły tydzień dorzucił aż trzy nowe konkursy do szeregu poprzednich. Pomysłowa redakcja *Tygodnika Ilustrowanego*, w której obecnie po ustąpieniu zasłużonego weterana i nestora w naszej prassie, Ludwika Jenikego, gospodarują p.p. Wincenty Korotyński i Tadeusz Czapelski, wezwwała naszych humorystów do zmierzenia sił swoich. Za sto rubli nagrody, oprócz sławy i rozgłosu, niedającego się obliczyć na gotówkę, zażądała od nich 300—500 wierszy druku, z którymi czytelnicy *Tygodnika* mogli się uśmieć do rozpuku.

Będzie to trudno zdobyć się na prawdziwy humor w czasach tak kwaśnych min, tak spuszczonej na kwintę nosów, tak niewesołych myśli, że chyba ów przysłowiowy *Galgenhumor* przyjdzie z pomocą, bo inaczej same elegie zamiast dowcipnych humoresek wyjdą zpod piór skrzypiących autorów; mówię o skrzypiących piórach, nie skrzypiących humorystach.

Ostateczności się schodzą; może zatem w smutnych czasach uda się nadszpedzanie dobrze wesoły konkurs.

Drugi ogłoszony znów konkurs wabi naszych felietonistów 25-ma rublami do stworzenia wzorowej kroniki z tygodnia.

I to zadanie nie łatwe; nie przemawiam *pro domo sua*, ale felieton stał się dziś formą dziennikarską tak rozpowszechnioną, tyle rozmaitych piór spisuje się na kwacze w jego usługach, tak obowiązkowo felietonizuje się we wszystkich działach piśmiennictwa, że trzeba wyjątkowego talentu i

świeżości pomysłów, stylu i obserwacji, aby się wyróżnić zaszczytniej i wybić ponad innych.

Ta modna dziś „felietonowość”, której hołdują wszyscy, której wymagają wydawcy, redaktorzy, czytelnicy, przy swoich dobrych stronach miała i wiele złych; nadała może gracyi stylowej utworom pióra, wytworzyła coś w rodzaju galanterii drukowanej w prassie, ale przyzwyczaiła piszących do przeslizgiwania się po wszystkim, a czytających do smakowania w strawie lekkiej i okraszanej tylko po wierzchu.

Pierwszym warunkiem talentu stała się zręczność i błyskotliwość.

Jeśli mi wolno było użyć porównań, powiedziałbym, że „felietonowość” wprowadziła coś z baletu na scenę naszego piśmiennictwa; byle lekkie podskoki, zręczne piruety, wdzięczne pozy, byle forma popięta, a już o treść nie wiele pytać można.

Mamy też dzisiaj felieton zamiast poezyi, sztuki, muzyki, dramatu, rozprawy, studyów, mamy to uprzywilejowane coś, które może być niczem, byle było zabawnem.

„Mówię, bom smutny i sam pełen winy”...

Historyk naszej literatury będzie mógł kiedyś ciekawie robić uwagi na ten temat, gdy tę felietonowość dzisiejszą weźmie, jako charakterystyczne znamię piśmienniczej epoki.

Jednak wracajmy do konkursów; trzeci i najważniejszy ogłosiła redakcja *Kuryera Warszawskiego*. Zaimponowała ona przedewszystkiem hojną nagrodę, bo oznaczyła 1,000 rs. za powieść od 6—10,000 wierszy druku, oprócz zwykłego honorarium, prawa przedruku i odbitki; sumę rs. 500, przeznaczono na drugą nagrodę z temisami warunkami.

Nie śmiem zaprzeczyć, że warunki bardzo pojętne, zwłaszcza w tych czasach—„Geldhaba stać na to” żeby podejmował tak po bankiersku literatów—zaświeca się też oczy naszym belletrystom po przeczytaniu ogłoszenia takiego w *Kuryerze*. Za tom powieści wziąć około 2,000 rs., licząc w to premium i honorarya, to gratka nielada. Nie zazdroścę wszelako losu sędziom tego konkursu, którzy zapewne zasypani będą do 30-go Września lawiną rękopisów. Praca tych panów będzie ciężka, zwłaszcza, że większość Areopagu należy również do składu sędziów konkursu dramatycznego imienia Żółkowskiego, który rozpięła redakcja *Gazety Polskiej*.

Wykluczonemi są od udziału w konkursie tłumaczenia, przeróbki, dzieła uprzednio w części lub całości drukowane, prace, które już znajdowały się na jakimkolwiek konkursie, jako też utwory, które ze względów cenzuralnych nie mogłyby być ogłoszone drukiem.

Nadesłane mają być prace najpóźniej do dnia 30-go Września r. b., ocenione przez komitet sędziów, w którym na zaproszenie redakcyi przyjął przyrzekli udział: Ludwik Jenike, Dr. Piotr Chmielowski, Dionizy Henkiel, Józef Kotarbiński, Stanisław Krzemiński i Henryk Sienkiewicz, a ze strony *Kuryera* należeć będą Władysław Bogusławski; Władysław Sabowski. Powieści uwieńczone pierwszą i drugą nagrodą wydrukowane będą w *Kuryerze Warszawskim* najpóźniej do końca Lipca 1888 roku, za co autorowi wypłaconem zostanie honorarium w stosunku 5 kop. od wiersza druku. Co do prac nienagrodzonych, lecz wyróżnionych przez sędziów, redakcja zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do ich nabycia za umówioną cenę z autorem.

Przy ustanawianiu komitetu konkursowego nie kierowano się widocznie zasadą przy konkursie dramatycznym przyjętą; pomiędzy krytykami z zawodu, z których żaden ubiegać się o nagrodę nie będzie, pomieszczono dwóch belletrystów, którzy ubiegać-by się mogli i powinni, zwłaszcza jeden z nich, górujący dziś talentem i rozgłosem ponad innymi.

Dlaczego zamykać im drogę do wzięcia udziału w konkursie?...

Rywalizacya byłaby trudniejszą, gdyby autor „Potopu” wystąpił z nowym utworem, ale konkurs skorzystałby na takim współzawodniku, który i tak oile mi wiadomo nosi się z projektem napisania powieści współczesnej po skończeniu swej trylogii historycznej.

Co do p. Sabowskiego, jakkolwiek jest dzisiaj po ś. p. Szymanowskim kierownikiem redakcyjnym *Kuryera Warszawskiego*, nie widzę również przyczyny, dla którejby pod ścisłym *incognito* nie miał przypomnieć sobie dobrych lat twórczości Wołodego Skiby i wejść w szranki konkursowe. Zasada wykluczenia stałych współpracowników od ubiegania się o nagrodę w piśmie takim, jak *Kuryer*, pozbawiłaby konkurs współzawodnictwa takich sił, jak Prus, Jeske-Choiński i t. p. Ostronniczość wyroku trudno będzie posądzić nawet na wypadek wyróżnienia kogokolwiek z „ludzi Kuryerowych”, gdyż rękojmię bezstronności daje skład komitetu, w którym przeważnie zasiadają osobistości, nienależące do redakcyi pisma, a wybrane nawet i z żywiołów biegunowo przeciwnych kierunkowi *Kuryera Warszawskiego*.

Mojem zdaniem, konkurs powieściowy powinien zainteresować szersze koła piszących i czytelników; życzę mu powodzenia przez wzgląd na literaturę naszą i przez pamięć dla nieboszczyka Szymanowskiego, którego nazwisko powinien nosić, jako hołd złożony przez nową redakcyą zmarłemu swemu kierownikowi i twórcy.

Tego aktu wdzięczności i uznania niktby inicjatorem konkursu za złe wziąć nie śmiał.

Nie sama literatura korzystać będzie w tym roku z turniejów konkursowych; otwierają się szranki współzawodnictwa i dla artystów. O malarskim konkursie z zapisu ś. p. Kuryerowa już wspominałem powyżej; a oto Towarzystwo Muzyczne z fundacyi tegoż zmarłego filantropa ma do rozdania 180 rs. muzykom za bezwzględnie dobrą kantatę na głosy solowe i chór z towarzyszeniem fortepianu i orkiestry; text do śpiewu ma być polski, dowolny, świecki, wartości literackiej.

Ta „bezwzględność” dobroci utworu wydaje mi się warunkiem nieco za ciężkim; zresztą gdzież miara na nią?... Beethovenów, Mozartów, Haydnów nie posiadamy pomiędzy naszymi kompozytorami. Konkurs ze 180-ma rublami ich nie stworzy, to przecież nie jest jego celem.

Komitet pozostawił sobie drogę wyjścia z przewidywanej kollizyi i w razie nie uznania żadnego dzieła za „bezwzględnie dobre” chce rozdzielić jedną nagrodę na dwie: 100 i 80 rs., które przyzna utworom uznanym za najlepsze z nadesłanych.

Aby skończyć z tematem konkursowym, wspomnieć muszę jeszcze o wydaniu „Alberta wójta” w książkowej formie; laureat p. Stanisław Gabryel Kozłowski otrzymał w tej edycyi dodatek do nagrody pieniężnej, cały nakład dokonany z funduszków konkursowych stał się własnością autora. Spory tom, bardzo starannie wydany, zawiera tragedya, poprzedzoną notatką historyczną o „Zatargu Łokietka z Krakowem” w roku 1311 podług rozprawy prof. Bobrzyńskiego i cenne studyum o „Wojciechu Bogusławskim”, skreślone przez przez wnuka jego, Władysława, zajmującego tak poważne u nas stanowisko w krytyce teatralnej.

O „Albercie” samym nic już nie powiem; przenieciono go na wszystkie strony, ale młody dramaturg nie wziął zbyt do serca gromkiej nagany, ani przesadnych hymnów pochwalnych, nie zraził się, jak na prawdziwy talent przystało, ani nie rozmarzył na pierwszych laurach bezczynnie, zasiadł do biurka i zaczął pisać nową tragedya historyczną z czasów Kazimierza Wielkiego p. t.: „Esterka.”

Szkoda, że żadna scena dotychczas nie skorzystała z „Alberta”; dla p. Kozłowskiego była-by to bardzo pożądana sposobność zobaczenia własnego dzieła w najwłaściwszej perspektywie teatralnej; nauczyłby się z niej i nabrał więcej doświadczenia na pożytek dalszej twórczości swojej. Ale, niestety, obaj laureaci zeszłorocznicy nie mają szczęścia do sceny; i „Minowski” dzieli los „Alberta”, „jakkolwiek jego autor p. Mańkowski drugą już komedyą sporych rozmiarów p. t.: „Dziwak” puścił w świat, ale jakoś wzmianki o niej w krytycznych rozbiórach i notatkach literackich nie znalazłem nigdzie dotychczas. To zachęcające do dalszego pisania!... scena nie wystawia, krytyka milczy, publiczność nie czyta—i bądź tu komedyopisarzem!

Tytułową postać w komedii p. Mańkowskiego miał odtworzyć Żółkowski, ale nauczanie się nowej roli, zwłaszcza tak dużej, sprawia już wielką trudność sędziwemu artyście, który i tak dawniejszymi swojemi kreacjami budzi zawsze jeszcze zachwyt publiczności i ściągają tłumy do sali teatralnej, ilekroć występuje na scenie. Gra wielkiego artysty ma to do siebie, że zajmuje jednako swoją żywotnością i mistrzowskim wykończeniem; patrzy się na niego po raz setny i odkrywa nowe rysy, nowe szczegóły; wznawiane role wydają się nowemi a stare sztuki nabierają przez niego nowego interessu.

Pomyśleć się boje, co będzie kiedyś, gdy i Żółkowskiego zbraknie!...

Młodsze siły nie sięgają mu do kolan, a brak szkoły dramatycznej i kierownictwa w zawodzie aktorskim poza sceną nie pozwoli nowym talentom rozwijać się prawidłowo.

Coraz też bardziej uczuć się daje potrzeba instytucji, któraby przygotowywała dla naszych scen nowe pokolenie artystów, kształconych należycie.

Dyrekcya teatru dała dowody energii i sprężystości w pracy około polepszenia interessów sceny, zajęła się sztuką w danych warunkach nader troskliwie,—wszelako dbając o terażniejszość, powinnyby zrobić coś dla przyszłości. Wiem o istnieniu od kilku lat wytworzonego projektu szkoły dramatycznej, którą pan senator Gudowski uporawszy się z ważniejszymi kłopotami finansowej natury, mógłby teraz wziąć pod swoją opiekę i zasłużyć się jeszcze bardziej teatrowi, wskrzeszeniem instytucji bardzo potrzebnej i rokującej dla sceny niewątpliwy pożytek.

Chociaż to będzie niezręcznością felietonisty, bez wszelkich upozorowanych przejść i stylowych zwrotów—porzucam teatr a wchodzę do wystawowych sal w Muzeum rolnictwa i przemysłu, gdzie właśnie „mijają piękne dnie Aranjuezu“ i zbliża się koniec ekspozycji. Stwierdzić dziś można, że wystawa miała powodzenie, publiczność odwiedzała ją licznie, wystawcy nie stracili na tym popisie a wiele firm zarekomendowało się nader korzystnie swojemi okazami.

Pod koniec niewyjaśniona dotąd należycie sprawa zamąciła pogodny żywot wystawy; oto delegacya ekspertów wykryła rzekomy podstęp ze strony jednego z wystawców p. Goldmana Złotowskiego, kierownika kutnowskiej fabryki wyrobów ze słomy, i taśmy drzewnej. Podobno przekonano się, iż wystawione okazy nie były wyrobem tej fabryki, która nawet istnieć nie miała w tych rozmiarach i takiej stopie rozwoju, na jakiej przedstawił ją zarząd w swej deklaracji.

Rozumie się, że to odkrycie zrobiło skandaliczne wrażenie; opinia publiczna z oburzeniem przyjęła do wiadomości ten fakt, dzienniki postawiły p. Goldmana Złotowskiego pod pręgierz za nadużycie zaufania; tymczasem p. Goldman w ostatnim numerze *Głosu* umieścił list otwarty, zarzucający stronnictwo i kłamstwo ekspertom i podjął się udowodnić, że okazy wystawowe są rzeczywiście wyrobem zakładów kutnowskich, rozwijających przemysł ludowy, że fabryka istniała i istnieje, że liczba pracujących robotników podana przez niego nietylko nie była przesadzona, ale za mała, że przy zakładach funkcjonuje farbiarnia i blicharnia, słowem, iż osądzono go i ukarano fałszywie.

Ciekawa historia, kto teraz ma słuszość?

Jakkolwiek wchodzę w położenie panów ekspertów, pragnąłbym, aby p. Goldman potrafił się uniewinnić i przede wszystkim dowiódł istnienia zakładów przemysłowych, rokujących piękne na przyszłość nadzieje; pragnąłbym, aby w Kutnowskiem wyrosły choćby z pod ziemi owe warstwy, w których wieśniacy i wieśniaczki wyrabiają takie gustowne tkaniny i w których nowa gałęź przemysłu została zaszczerpiona.

Sprawa ta zostanie zapewne wkrótce przez nową delegacyą wyjaśnioną, zobaczymy wtedy, kto rozszedł się z prawdą, i dlaczego to uczynił.

Przygotowania do wystawy stylowej, która powoła do popisu naszych tapicerów, stolarzy i galanterników a publiczności poda sposobność przypatrzenia się budoarom i ozdobom z epoki rozma-

tych Ludwików i Napoleonów, jako też na wielką skalę czynione przygotowania do wystawy higienicznej, zapowiadają nam cały szereg nowych wrażeń i pożytecznych spostrzeżeń.

Będzie co podziwiać — ach, żeby tylko było za co!...

Quis.

ZABIEGI PANA PIOTRA.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Klarcia, ostrzeżona wzrokiem, zatrzymała Doktora i Izę w salonie.

— Nareszcie jesteście sami — odezwała się i westchnęła.

— Nareszcie — rzekł pan Piotr z pewnym patosem tryumfu. — Widziałem hrabiego, poznałem malarza. Hrabia nie robi wizyt, nie bywa nigdzie, nie przyjmuje zaproszeń. — Zamilkł, hrabina, zadziwiona i przerażona, również milczała.

— A więc niema nadziei?... — szepnęła.

— Owszem jest — zdecydował pan Piotr wyniośle.

— Jest?... Mów kochany pan, mów.

— Ośmielę się zapytać: czy pani hrabina zwróciła uwagę na moją rozmowę przy obiedzie z esku-lapem?

— Ależ bardzo! — i bałam się...

Pan Piotr uśmiechnął się poważnie.

— Doktor nam sprawę ułatwił.

— A to jakim sposobem?

— Podnosił talent Szeligi: hrabianka Iza chce zwiedzić jego pracownię: pójdziemy tam. Pani hrabina uprosi Szeligę, aby malował portret hrabianki Izy. Jeżeli Szeliga odmówi, udamy się o protekcję do hrabiego. Nie odmówi, poprosimy hrabiego o rady i artystyczną opiekę nad portretem podczas malowania. Hrabia, wielki amator i znawca, zgodzi się. Nigdzie nie bywa, lecz będzie bywał u nas.

Hrabina uśmiechnęła się ironicznie, czego jednak nie widział pan Piotr.

— Nie ma z nikim stosunków, będzie je miał z nami — mówił dalej. — Przyjaciół jego uwieczniony w na... w domu pani hrabiny — poprawił się — zmusi hrabiego, aby tu często przychodził. Z początku będzie odwiedzał przyjaciela, lecz później... — przerwał, lecz za chwilę cicho dokończył. — Hrabianka Iza jest tak czarująca!

— Pochlebco — odparła hrabina — będzie, co Bóg da, chociaż wierzę, że Iza podobać się może.

— Ja jestem o tem przekonany. Hrabianka Iza potrafi na dworze brylować i będziem tam gwiazdą, — przysięgam!

Hrabinie zaświeciły oczy radośnie. Panu Piotrowi przyszedł na myśl dzisiejszy sen i nowa myśl, jak błyskawica, oświeciła jego czaszkę. Hrabianka Iza, gdy zostanie gwiazdą na dworze, czyż nie może go zrobić szambelanem, tem więcej, jeżeli zostanie mężem Klarcie?... —

— A zatem plan ułożony, tajemnica przed panną Izą utrzymana. Idzie tylko o zatwierdzenie go przez panią hrabinę.

— Widzę, że innego sposobu niema, wszystko kochany pan wybornie obmyślałeś. Umiesz nawet w grę wciągać swych nieprzyjaciół, służyć ci muszą. Doktor wybornie został pociągnięty. W całej tej sprawie jednak martwią mnie demokratyczne nałogi hrabiego... Do czego prowadzi przyjaźń jakiegoś Szeligi z Odrzykońskim?

— Ależ to są tylko wielkopańskie fantazyje — zawołał pan Piotr. — W Wiedniu każdy wielki pan ma swego malarza. Nic dziwnego, że nasz hrabia ma również swego. I to mu trzeba poli-

czyć za zasługę, że wybrał najlepszego. Pani hrabino, Szeligowie, to stara szlachta — dodał poważnie.

Hrabinie kącki ust lekko drgnęły. Co ją obchodziła stara lub młoda szlachta! Nigdy się temi różnicami nie zajmowała.

— Malarz jest malarzem — powiedziała poważnie, a hrabia Odrzykoński hrabią i wielkim panem.

— Bez kwestyi — pochwylił pan Piotr — lecz jeżeli inaczej być nie może?... Dobrze byłoby obejść się bez malarza i wprost z hrabią zawrzeć stosunki przyjaźni, lecz tu już pani hrabina raczy nakreślić plan działania, bo mnie nie stać na inną kombinacyą.

— Ja również uważam ją za jedyną. I nie tracąc czasu, musimy zacząć działać. Wszystko należy obmyśleć dokładnie i zręcznie przeprowadzić.

— Przedewszystkiem dokładność i zręczność. Malarz oświadczył mi, że atelier jego zwiedzać można od godziny dwunastej do pierwszej. Nic to jednak nie znaczy: dowiem się kiedy hrabia tam jest, i wtedy pójdziemy, choćby jutro. Hrabiance Izie powiemy, że mi się udało wyrobić pozwolenie malarza do obejrzenia jego pracowni. Pani hrabina, zachwycona obrazami, będzie go prosić o portret córki; przypuszczamy szturm do hrabiego i, jak pani hrabina mówi, będzie to, co Bóg da. Tu pan Piotr ucałował rękę hrabiny z oznaką głębokiej czci.

— Wszystko z Bogiem, nie bez Niego — zawyrokowała hrabina. — I jeżeli się tylko sprawa uda, kochany pan otrzymasz nagrodę. Podaj mi rękę, wracajmy do salonu. Uważałeś pan, jak Klarcia dziś dobrze wygląda?

— Świetnie — zawołał pan Piotr z entuzjazmem.

— Dystygowana, pobożna i praktyczna; dobra z niej będzie żona.

— Anielska — szepnęła pan Piotr przy akompaniamencie westchnienia. Chciał jeszcze jeden wyraz powiedzieć stanowczy, wielki, decydujący o jego przyszłości, lecz już było zapóźno: stanął z hrabiną we drzwiach salonu. Patrzał na niego doktor szatańsko uśmiechnięty, patrzała niebieskimi oczyma hrabianka Iza, patrzała Klarcia ciekawie, świdrując go małemi, siwemi oczkami.

Klarcia, oile była nabożna i praktyczna, o tyle ciekawa. Nie lubiła, aby się coś koło niej działo bez jej wiedzy i udziału. Narada pana Piotra z hrabiną trwała zbyt długo, aby na niej nie miano traktować rzeczy ważnych. Pan Piotr uśmiechał się tryumfująco, hrabina była rozrzewniona.

— Jest coś — pomyślała Klarcia — coś bardzo ważnego; ciekawość zaczęła ją opanowywać i dla jej zaspokojenia zdobyła się na krok nadzwyczajny. Pod pozorem, aby zrobić miejsce hrabinie, powstała i, przechodząc do kanapki umieszczonej w rogu salonu, skinęła nieznacznie na pana Piotra.

Tryumfator poskoczył, rzucając spojrzenie na doktora, w którym świeciły duma i pewność zwycięstwa.

— Cóż to za długie tajemnicze narady? — szepnęła Klarcia, korzystając z głośnego opowiadania doktora.

— Tajemnica stanu — odparł pan Piotr.

— Nie będę przyuszczona do spisku?

— Z największą rozkoszą, gdyby to ode mnie zależało. Spiskowych wybiera hrabina.

— Możesz pan uprzedzić hrabinę o parę godzin czasu.

— Z rozkoszą zrobiłbym to — powtórzył pan Piotr — gdyby nie przysięga. Jako spiskowy, złożyłem przysięgę.

— I nic, nic — rzekła z przyciskiem Klarcia — nie skłoni pana do jej złamania. Żadna... chciała powiedzieć: uczucie, lecz w porę urwała — żadna prośba — dodała po chwili.

— Żadna — odpowiedział pan Piotr stanowczo. — A ponieważ pani dziś wieczorem, lub jutro rano należeć będziesz do spisku, a zatem mam nadzieję powiesz o mnie: — Spiskowic ten szanuje tajemnicę.

Klarcia zamyśliła się, wazkie jej usta zacisnę-

ły się szczerze, małe, świdrujące oczka przysłoniła rzesami. Nos ostro zakończony zdawało się, że wysunął się naprzód z poza chudej, krościstej twarzy. Wąskie ramiona i piersi, zaledwo odznaczone, wznosiły się szybko. Klarcia widocznie była zła i obrażona. Przyzwyczaiła się do posłuszeństwa pana Piotra, przyzwyczaiła się każde wymówione do niego słowo uważać za okazaną mu łaskę; aż tu, jak grom z pogodnego nieba, spada na nią opozycja cichego niewolnika i to w spisku z hrabiną?

Tymczasem pan Piotr wpatrywał się z rozkoszą w wąskie usta, ostro zakończony nos i małe oczka — jedynie dlatego, że te należały do hrabianki przeznaczonej mu jako nagroda za położone zasługi.

— Dwa śluby razem — pomyślał, gdy mileżąca Klarcia powstała, przeszła się parę razy po salonie i zajęła miejsce obok doktora, wyciągając go na coraz inne plotki i komiczne opowiadania.

Pan Piotr nie obraził się, był pewien swego i nadto był dziś szczęśliwy, rozpromieniony i oddany swym projektom, aby widział nieukontentowanie hrabianki.

Hrabina знаła ciekawość Klarcii, spostrzegła jej gniew, domyśliła się przyczyny i wdzięczną była panu Piotrowi za jego mężstwo w walce.

— Ten nie zdradzi — pomyślała — ten jest wierny i przywiązany do swych państwa, jak pies. Na niego jednego liczyć można. — Wzrok jej padł na doktora.

— Ten nie jest pewny. Zdaje się, że chce tylko dobrą pieczeń upiec przy naszym wielkim ogniu. Jestem prawie pewna, że w kole swych najbliższych demokratów tak samo z nas żartuje, jak wobec nas z mieszczaństwa. Ani Klarcia, ani on, nie będą przypuszczeni do tajemnicy.

I dotrzymała słowa. Przeszedł wieczór i ranek minął: hrabina milczała, mimo, że Klarcia dość natarczywie dopominała się o treść narad z panem Piotrem. Wtedy przysięgła sobie do niczego się nie mieszać i w niczem nie brać udziału, chociażby ją o rady i czynną akcją błagano.

II.

Nazajutrz o godzinie dwunastej pan Piotr, ufryzowany przez swego lokaja, wyświeżony i pachnący, kazał się zaanonsować samej pani hrabinie. Niedługo czekał.

— Wszystko przygotowane i ułożone — mówił rozpromieniony na przywitaniu. — Malarz czeka w pracowni, zastaniemy tam hrabiego.

— Wybornie, wybornie — zawołała hrabina. — Jesteś pan nieporównany, kochany nasz przyjacielu.

Pan Piotr ucałował rękę hrabiny, wzruszony i, powiedzmy prawdę, szczęśliwy.

— Wyruszymy razem we czworo; Klarcia jedzie z nami — dodała z dobrotliwym uśmiechem. — Tym sposobem, wycieczka nasza będzie mieć cechy zwykłej ciekawości.

— I uwielbienia dla sztuki — dokończył pan Piotr poważnie.

— Naturalnie, entuzjazmem dla sztuki musimy sobie zjednać hrabiego. Łatwo to nam przyjdzie, gdyż Iza jest rozkochaną w malarstwie.

— Panna Iza, gdzie spojrzysz, tam zapala miłość — wygłosił pan Piotr w uniesieniu.

Hrabina milczała, jedynie dlatego, że kto tylko powiedział coś niezwykłego nie z jej świata, uważała za komiczne i pospolite. Gdyby to samo zdanie powiedział hrabia Odrzykoński, powtarzałyby je głośno.

Przywołane przez hrabinę, weszły Klarcia i Iza. Klarcia w czarnej sukni, miała wyraz twarzy złośliwy i małe, świdrujące oczy arystokratycznie zmrużone. Twarz jej, zwykle mówiąca o dwudziestu pięciu latach życia swej właścicielki, dziś wyraźnie okazywała lat trzydzieści. Sztywność jej stała się rogową, bladeść przeszła w odcień żółtawego koloru. Za to Iza promieniała młodością, wdziękiem i życiem. Niebieskie jej oczy patrzyły na świat serdecznie i naiwnie, w kąciach ust kryły się humor i wesołość. Jasne bar-

wy silnie odznaczone, składające się na jej ubranie, uwydatniały figurę kształtną i ponętnie zaokrągloną, czyniąc postać całą uroczą młodością i życiem.

Matka wpatrywała się w nią, dumna i rozpromieniona; pewna zwycięstwa zbliżyła się, całując ją w usta.

— Z pana Piotra prawdziwy czarodziej. Za ledwo wczoraj szepnęłam, zaręczam mamie, szepnęłam życzenie, dziś staje się ono faktem. Będziesz pan wybornym, wyśmienitym, nieporównanym mężem. Nie prawdaż, mamó? Nie prawdaż, Klarciu?

Klarcia usiłowała się uśmiechnąć, lecz sforsowany ten uśmiech zmroził pana Piotra, odebrał mu odwagę i ścisnął serce.

Hrabina dostrzegła uśmiech Klarcii i przestraszyła pana Piotra: nie chciała pozwolić na porozumienie się i dlatego szybko podała rękę panu Piotrowi, dając rozkaz do wymarszu.

Na schodach przystanąła, i gdy pan Piotr nachylił głowę, szepnęła mu:

— Klarcia nie jest wtajemniczoną.

Na twarzy pana Piotra zarysowało się zdumienie.

— Nikt tylko my — dodała.

Szli dalej, panem Piotrem miały uczucia przeobrażenia. Hrabina, patrząc na Klarcie, powtarzała w duchu:

— Ja się boję jej uśmiechu i jej zazdrości. Stare panny są straszne. I gdy tylko los Izi będzie zdecydowany, oddam ją w nagrodę panu Piotrowi. O ile nie lubiła i bała się Klarcii, o tyle była przekonana, że pan Piotr będzie niesłychanie wynagrodzony, jeśli jej daleka krewna zostanie jego żoną.

W powozie zajęły pierwsze miejsca hrabina z córką; przy Klarcii usiadł pan Piotr. Pierwszy raz przypuszczony został do godności zajmowania miejsca w powozie hrabiny. Rad był, aby go cały Kraków widział, z litością patrzył na idących piechotą, na jadących fiakrami, a nawet na siedzących w powozach nie-hrabiowskich. Wszukiwał oczami znajomych, aby się im protekcyjnie ukłonił kniwnikiem głowy, i tak był upojony zdobytym stanowiskiem, że zapomniał na chwilę o Klarcii, jej sąsiedztwie i uśmiechu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Stary rok, z którym byliśmy nie w najlepszych stosunkach, dobiegł do mety i zniknął ścigany nieskończonymi wyrzutami i zagadnieniami — nie chcąc czy nie umiając ich rozwiązać. Nowy nadbiegł, zajmując jego miejsce, jakby przestraszony losem brata, niesmiały, niepomyślny siebie, niosąc na początek odebrany świeżo telegram z Nowego Yorku, oznajmujący o spieszącym do nas cyklonie i chłodzie. Góry pokryły się śniegiem, choroby tuła się do kominków, gorzących drzewem oliwnym. O czem — że tu wam donieść? Gdyby mnie nie posadzono o pieniądzo, wytoczyłbym proces i zaczął od śledztwa.

Jedną z najmilszych spuścizn przeszłości są obyczaje, obrzędy, pewne formy, w które się życie przybiera w chwilach uroczystych. Komuż na obyczajnie z oczów lzy nie wycisnę nasz symboliczny opłatek, nasze dzielenie się wielkocną pisanką? — nasza Wigilia z sianem i snopem, nasze Zielone Świątki, nasze Wianki i kwiaty święczone?...

Do tych dawnych obyczajów przybyła, za naszych czasów młodych jeszcze zupełnie nieznaną, choinka, Boże drzewko na Boże Narodzenie? Tak jest weszła ona w obyczaj, bo się godziła z naszymi uczuciami i duchem ożywiającym Święta Godów. Ale choinka to nie nasza; nie znano jej w Polsce nigdy, a po ścisłym zbadaniu okazuje się, że i w Niemczech, z kąd do nas przywędrowała, nie istniała przed stu laty. Opieram się

w tem na samych Niemców zeznaniach, którzy choinki pierwocin i genezy nie umieją oznaczyć.

Nie mamy nic przeciwko choince; znajdujemy ją obyczajem wdzięcznym, zwłaszcza, gdy jednoczy i zbraca, a nie odpędza i wyłącza — ale choinka nie jest polską, jest niemiecką. Niema jej w Anglii, gdzie ją gałąź bukszanu i kłoda gorejąca w kominie zastępuje, ani we Francji, gdzie Nowego Roku powinszowania i podarki pochłaniają wszystko.

Jak, gdzie, kiedy urodziła się choinka? — nikt nie wie? To pewna, że musiała gdzieś w sosnowych lub świerkowych borach przyjść na świat, i że nie na wsi, ale w mieście narodziła się z tęsknoty za lasami. Nadto w niej kunsztu, przystrojenia, błyskotek: gra w niej rolę pozłacany orzech włoski, który u nas nigdy nie był bardzo popularnym i ulubionym. Zwyczaj wreszcie dawania podarków na gody nie nasz jest, bośmy je na Nowy Rok przenieśli.

Bądźco bądź, wartoby wysledzić, jak się do nas dostała i upowszechniła choinka, niewątpliwie zapożyczona od Niemców. Stosunki ściślejsze z nimi od r. 1772 — niestety — poniekąd to tłumaczy. Jeżeli się myślę, radbym to mieć objaśnionem i być wyprowadzonym z błędu. Po miastach u nas choinka należy już do stałego zwyczaju; wartoby więc wpisać jej genealogię do naszej heraldyki. Myśmy się w Wigilię dzielili tylko opłatkiem; Niemcy znajdowali, że nie dosyć tego było i zawieszali na gałązkach choinki podarki dla rodziny i sług przeznaczone. Nie wiąże się ona niczem z Jasełkami i Kołędą.

Zaprawdę, nie wiem, dla czego mi przyszło rozpocząć list mój od procesu uczynionego tak dzieciom ulubionego drzewka?... wołę jednak moje pieniacstwo o to, niż groźbami i wojną nabrzmiałe telegramy, które dzienniki po świecie roznoszą. Zyskują na nich tylko giełdy i spekulanci, bo, da Bóg — do wojny nie przyjdzie. Zbyt ona dziś jest kosztowną i morderczą, aby ktoś chciał wziąć odpowiedzialność jej na siebie.

Przy tylu nowych zabójczych wynalazkach — wojna stanie się raczej wkrótce niemożliwą, bo będzie, nie walką rycerską narodów, ale popisem wynalazków na polu zniszczenia i wyludnienia.

Karabin z repetycjami, mający dawać nie wiem ile strzałów na minutę, przybywa do innych narzędzi morderczych, tak, że teraz wojska będą mogły się zdziętkować, nim zobaczą... a cóż będą warte twierdze, do których z góry balony rzucac mogą bomby i w perzynę je obracać? Elektryczność, fotografia, chemia — wszystko zastosowano do wojny, nim zużytkowano na korzyść rodzaju ludzkiego. Dalej już zajść trudno i cofać się będzie potrzeba, wchodząc na drogę porozumień i układów międzynarodowych, których stróżami będą wszyscy razem. W samem więc złem czerpiemy nadzieję pociechy w przyszłości.

Mówiliśmy o tem ze starym Francuzem, który na tę kwestyę pacyfikacji inaczej się zapatrywał, niż ja. Rozmowa się zdawała skończoną, gdy na twarzy ucziwego starca zarysował się uśmiech szyderski.

„— Nie wiem — rzekł — czyś pan to uważał — jak *mutatis mutandis*, oczywiście, cywilizowane społeczeństwo dzisiejsze, jest podobne do tego rzymsko-greckiego, które poprzedziło narodziny nowego chrześcijańskiego świata? Tożsamo rozpieszczenie, upodobanie w widowiskach, rozkochanie się w zbytku, też uczy i biesiady, igrzyska i hecce, wyścigi, tożsamo zużytkowanie kunsztów do przepychu ornamentacyjnego, tażsama demoralizacja... tażsama nędza proletaryatu! Jest-to powtórzenie dziejów, którego ostatnią kartą są najzdyżalsze stosunkowo dzikich ludów, przeznaczonych do zwyciężenia nad rozmiękczonymi, ale ta dzicz może nie potrzebowałaby wędrować z Azji, bo się znajdzie w osadach, w mętach i fusach każdego państwa, w tłumie tym, który dziś burczy, odgrażając się groźnie. Porównanie tych dwu epok odznaczające daje podobieństwo.

„Żyłem za ostatniego cesarstwa w Paryżu — mówił dalej — i chociażem nie szukał zbliżenia się do tych sfer, w których jaśniały gwiazdy cesarskiej, księżny Matyldy, księcia Morny i t. p., miałem stosunki z autorem listów do nieznanym i do Panizzego, z Arsenem Houssaye, z gościem

Compiègne i Tuilleryów. Niekiedy Nieuwerkerke przypominał bogatego wyzwolenca do złudzenia. Nic jeszcze naówczas nie zwiastowało, nie dozwalało przypuścić tak nagłego zaważenia się (effondrement) cesarstwa, z dnia na dzień pchanego w przepaść; ale jakby przecucie katastrofy wszyscy nosili w sobie. Nie można sobie było wytłumaczyć, jaką siłą stoi ten gmach, z którego wszyscy korzystali, a nikt o konsolidowaniu go nie myślał. Mówiono, że cesarz dla wielu wydawał się tajemniczym, zamkniętym w sobie geniuszem potężnym. Nieprawda to jest: ani w potęgę jego, ani w geniusz nikt nie wierzył; wszyscy widzieli doskonale odgrywaną rolę, zasłaniającą wnętrze, dla pokrycia próżni.

„Nikt, oprócz cesarzowej może, nie wierzył w trwanie cesarstwa, które dla tego tylko żyło, że wszyscy z niego korzystali, a nikomu nie zawadzało tak dalece. Mógł więc Napoleon III pisać sobie swobodnie historią Cezara i napawać się kadzidłami.“

Z tych czasów cesarstwa niezliczone pamiętniki, notaty, zwierzenia drukują się obecnie, chociaż nic nowego nie przynoszą, stwierdzają tylko sąd ostatni o Napoleonie. Dynastyczne zachcianki Bonapartych wogóle nie mają najmniejszego widoku urzeczywistnienia się; ale ludzi się wolno każdemu, komu to robi przyjemność.

Do rządu znakomitości przebywających w San Remo należy jeden z członków rodziny księża Roland z matką i córką. Zajmuje on willę niedaleko ode mnie i z pocztą dworską bardzo skromną. Naturalista, mówią, że się oddaje studiom nad fauną włoską. Matki i córki jego nie widzimy prawie, taksamo jak młodej księżny Tomaszowej Genuńskiej, która też przybyła tu z Genui, szukając łagodniejszego klimatu. Wogóle wszyscy prowadzą życie bardzo ciche i pustelnicze, dzieląc się na małe kółka, niemające z sobą prawie żadnych stosunków.

Cesarzowa Eugenia przesunęła się tędy w swej podróży, spocząwszy dni parę w Bordigherze, niewidząc i nie przyjmując nikogo. Towarzyszyli jej w podróży jeden sekretarz i jedna dama tylko, sług parę. Spodziewano się Książąt Orleańskich, ale nadzieja ta zawiodła. Stosunkowo San Remo dosyć jest puste, chociaż klimat jego zaleca je wielce. Zimno wprawdzie, lecz chłód ten panuje w całych Włoszech—a myśmy dotąd mrozu nie mieli, chyba w górach.

Dziś donoszą o śniegu w Madrycie, Londynie, Paryżu—wszędzie. My go tu tylko zdala widzimy, jak pobielą szczyty Alp tutejszych.

Rzym jeszcze jest pod wrażeniem strasznego pożaru, który zniszczył pałac Odescalchich, na nowo przyozdobiony i z wielkim urządzeniem przepychem. Szkody szacują od pół do miliona franków, lecz są niektóre z nich nieocenione, bo zniszczone zostały znakomite dzieła sztuki i pamiątki rodzinne. Król nadbiegł w czasie, gdy płomienie już pałac obejmowały, i długo pozostał, pobudzając do ratunku. Straż ogniowa i jej narzędzia okazały się bardzo niedostatecznymi, i wypadek ten będzie powodem nowej reorganizacji tej służby.

Pomimo sarkania osób, któreby pragnęły widzieć stary Rzym nietkniętym, takim, jakim go przekazały wieki teraźniejszemu pokoleniu, municypalność nieustannie się zajmuje prostowaniem, oczyszczaniem ulic, odkopywaniem starych gruzów, w których miejscu stanąć mają budowle nowe. Szanowane są pamiątki, które na to zasługują, i municypalność czuwa nad tem, aby nie ginęły, co zachowane być powinno—a kopanie setnie się wynagradza tem, co, na każdym kroku niemal, dobywają robotnicy z pod nasypów. Całe nowe Muzeum tworzy się z tych napisów, kolumn, ułamek rzeźb, posadzek mozaikowych i t. p.

Buletyn wydawany wykazuje nader ciekawe zabytki, złote nawet wyroby, brązy, statuetki i niezliczoną ilość drobnych przedmiotów. Sama grafika i zbiór napisów z bogaci się tem wielce. Pomiedzy innymi i oczyszczenie placu około Mauzoleum zwanem Zamkiem Anioła Św. jest w planie, na czem olbrzymi gmach tylko zyska.

Bogactwa muzealne Rzymu, szczególnie rzeźba i marmury, nie mają sobie równych nigdzie.

Jak w Neapolu bronzów i ceramiki, tak zwanej etruskiej, uczyć się trzeba, tak tu marmurów ze wszech epok sztuki grecko-rzymskiej.

Na wybrzeżach Tybru, w rumowiskach dobywają codziennie złomki kolumn, bryły najkosztowniejszych i najpiękniejszych marmurów afrykańskich, które nigdy użytkowane nie były i wieki przeleżały, czekając tej chwili odrodzenia.

Wśród tego przerabiania starego Rzymu, jak wiadomo, municypalność natrafiła na zachowaną dotąd jako pamiątkę celę, w której żył i zmarł Święty Stanisław Kostka. Któż z nas jej nie odwiedzał? Stała ona właśnie w tem miejscu, którego miano przeprowadzić ulicę. Municypalność, nie dając się tem poruszyć, że miejsce było pamiątkowe, postanowiła zburzyć tę część pojezuickiego gmachu. Zrodziło to z jednej strony starania wielkie o to, by cela zachowana została, z drugiej, aby padła ofiarą. W nieświadomości praw tych, jakie ma municypalność, udawano się do króla i królowej z prośbą o oszczędzenie celi Św. Stanisława. Municypalność w poczuciu swej niezależności wcale się nieczem od raz powziętego postanowienia odejść nie dała. Stało się tylko, że osobista ofiarność obojga królestwa zapewniła przeniesienie izby świętego, tak jak ona była, cokolwiek dalej, nie naruszając jej wcale. Do sprawy tej przymieszało się, jak zawsze, coś z namietności politycznych, z walki pomiędzy Kościołem, a państwem i goryczą zaprawiło to, co mogło i powinno było rozwiązać się spokojnie, zgodnie nie rozbudzając niechęci i uraz wzajemnych. Król i królowa mogli tylko życzliwym pośrednictwem przyczynić się do zachowania pamiątki—i spełnili to z uprzejmością i dobrocią, jaka ich znamionuje.

Cela więc—jak zapewnił budowniczy—będzie mogła przesunąć się na niezbyt odległe miejsce, które jej przeznaczonem zostało. Przy odrobinie dobrej woli, byłaby ona zachowała się nawet nieporuszona, bo ulica pod zasklepieniem przechodzić mogła.

Królewska para, gdzie tylko idzie o ofiarę, o przyznienie się do dobrego uczynku, z rozrzutnością prawie przychodzi w pomoc instytucjom i osobom prywatnym; pozyskała też sobie miłość i cześć powszechną.

W tych dniach oddawna w zawieszeniu będąca kwestya: czy projektowany pomnik Napoleonów III, który wzniesie miano w Medyolanie, będzie przez miasto przyjęty i ustawiony? rozstrzygnęła municypalność, pomimo wrzawy i głosów przeciwnych,—w sposób pochwały godny. Stanie monument ten, bądźco bądź i będzie jedynym może pośmiertnym nieszczęśliwego gościa z Chislehurst. Drugi, jemu i synowi, wzniesie cesarzowa na grobie ich w Anglii.

Olbrzymi monument Wiktora Emanuela w Rzymie, pomimo pośpiechu z jakim pracują nad nim, nie rychło zapewne dokończony zostanie. Tymczasem sto miast włoskich zobowiązało się wzniesie ku wiecznej pamięci człowieka, za którego panowania dokonano się dzieło cudowne, sto posągów, aby go uniesmiertelnili. *Il Re galantuomo* nie potrzebował ich, aby się zapisać we wspomnieniach i dziejach... a nigdy może postać króla lepiej się do legendy popularnej nie nadawała, nad niego...

TRZY MIŁOŚCI SZOPENA

(Les trois romans de Fr. Chopin par Comte Wodziński).

(Dalszy ciąg).

Spotkanie nastąpiło w Dreźnie, gdzie mieszkał stale stryj Maryi, dawny żołnierz napoleoński, towarzysz księcia Józefa, ranny też pod Lipskiem, następnie wysoki dygnitarz, nakoniec emigrant, darzony wielkimi względami królewskiego dworu saskiego. Starość samotna po życiu pełnym ruchu i wrzawy, wielkich nadziei i wielkich jej upadków, zamilowała w pamiątkach przeszłości, w zachowywaniu jej szczątków, aż naraz pod cichy, spokojny dach starożytnika, wstąpiła młodość i miłość, wiodąca za sobą dramatuczną, który nie

miał być rozegranym szczęśliwie, jakkolwiek wszelkie warunki szczęścia zdawały się tu łączyć ze sobą.

Wszystkie one były: zgodność upodobań, wzajemna skłonność serc, wiążące słodko wspomnienia przeszłości, i nie liczone się tylko ze starym przesądem dumy rodowej, która stanęła w poprzek szczęściu i złotem jego nadziejom. Szopen bywał codziennie w domu wojewody Wodzińskiego; grano, rozmawiano o sztuce, zwiedzano razem miasto, jego sławną galerią obrazów—upajano się urokiem bieżącej chwili, przecież nie w bezmyślnym zapomnieniu o przeszłości, bo Szopen, już teraz sławny i aż do zbytku obsypywany honorami w najwyższym świecie arystokracji, nietylko francuskiej, ale i polskiej, mogący już teraz liczyć z pewnością na zamożność, na majątek nawet, nie sądził, aby miłość jego była sięganiem za wysoko.

Ale sąd innych nie tak wypadł. Stryj Maryi poznał prędko, że nie sama sztuka łączy ze sobą to dwoje, co godziny, wieczory całe spędzali ze sobą, nie zdając się ani pamiętać, ani troszczyć się o to, że poza nimi istnieje jeszcze świat jakiś, jakieś jego sprawy. Wojewoda—jak opisuje Wodziński—kasał niecierpliwie, marszcząc się przegarniał siwiejące, podobnie, jak nosił Thiers, do góry zaczesane włosy, aż w końcu, wypowiedział bratowej, że małżeństwo z muzykiem nie jest partją odpowiednią dla jego synowicy—partją, jakiejby rodzina życzyć sobie dla niej mogła.

Matka, Orsetti z domu, odpowiedziała łagodząco, że to jest tylko przyjaźń, zawarta w dzieciństwie, wspólna miłość dla sztuki, poufałość z lat dawnych wyniesiona. Przyznała, że i ona ma wzdłękę córki inne zamiary, ale nie chciałyby dotknąć przykro młodzieńca, który był przyjacielem jej synów, którego sama bardzo lubiła. Przytem stosunki muszą się z konieczności przerwać wkrótce; wyjedzie za miesiąc, zatem struny, i muzyki i miłości, muszą zabrzmieć pożegnaniem.

Więc przez tę, jakoby delikatność, która niby boi się dotknąć w sposób, który musi urazić, pozwolono Szopenowi rozkołysać sobie serce nadzieją, napełnić je miłością i choć Wodziński pisze wymijająco: „Ce n'était pas l'adieu, qui ne laisse pas d'espoir"... inni biografowie Szopena—Karasowski, piszą o tem inaczej, że Szopen miłość wyznał i słowo wzajemności usłyszał, że marzył szczęśliwie o powrocie do kraju i małżeństwie, osiedleniu się na wsi pod Warszawą, gdzieś w okolicy tego Służewa, gdzie odjeżdżała teraz Marya. Karasowski, który i korespondencją rodzinną Szopena badał, i z wszelkich możliwych wiadomości od jego blizkich korzystał, nazywa Maryę Wodzińską związaną już danem słowem—już narzeczoną.

Za rok miano się zjechać w Czechach, w Marienbadzie, więc to nie była rozłąka, ale szczęścia odroczenie—pożegnanie, które zostawia nadzieję, bo mówi:—do widzenia! A odbyło się ono ciepłym i jasnym, jak w lecie wieczorem wrześniowym. Powóz, zaprzężony pocztowymi końmi, już czekał na ulicy przed domem, na stole leżał bukiet róż, Marya wzięła z nich jedną dla siebie, drugą dała Fryderykowi, a na pobliskim kościele katolickim (Frauenkirche) zegar wybił dziesiątą godzinę.

On biedak mocno zbłądł i posunął się ku otwartemu jeszcze fortepanowi. Improwizował, a był to znowu walc (Walc 1. op. 69 w wydaniu paryskim Fontany). Marya, która potem dostała go, nadesłany jej z Paryża przez Szopena, i napisany jego ręką, nazwała go Walcem Pożegnania. Wodziński widział ten rękopis, będący dziś relikwią rodzinną, i pisze, że nuty kreślone są delikatnie, poprawnie, czytelnie i nic niema nad niemi prócz: „pour Melle Marie"... a u dołu data: „Dresde, septembre, 1835“.

Wodziński słyszał go, grany przez ukochaną mistrza i tak zdaje sprawę czytelnikowi z tego, czem odzywała się doń ta muzyka:—„Zdaje się, że słyszysz, po cichym szepcie dwóch głosów miłosnych, bicie zegara, a potem turkot gwałtownie toczących się kół po bruku, i lkania powstrzymywane, które ten okrutny hałas pokrywają“.

Przecież, nawet według Wodzińskiego Szopen uwiózł ze sobą do Paryża nadzieję. Niech tylko minie zima, niech przyjdzie wiosna.... Gdy lato

znów będzie—ukochana kobieta i szczęście zostanie mu wróconem. Niecierpliwy był przecież i pełen pryncypu, jak każdy kto kocha. „Ufał, lecz lękał się”, pisze Wodziński. Kiedy już nareszcie przyszedł czas tak tęsknie oczekiwanego zobaczenia się, kiedy Szopen już dojeżdżał do Marienbadu i był tak blisko, że widział jego wdzięczne wzgórza i mury miasta, choć to był poranek lipcowy, pogodny, i słoneczny, choć wokoło rozciągał się rozkoszny, wesoły krajobraz, jego zjął nagle strach. Przed oczyma rozciągnęła się jak zasłona ciemna i doznał ciężkiego ściśnienia serca.

„Przeczuł, że już koniec ze szczęściem jego życia.”

Powitanie już nie było takim, jak pożegnanie. Przyjęto go dobrze, przyjaźnie, ale z pewną ceremonialnością, bez dawnego serdecznego wylania. Uczuł, że go traktują, jak obcego, chciał wzmawiać w siebie, że to rzecz naturalna, że to skutek czasu i oddalenia, ale w duszy cierpiał. Bał się przemówić stanowczo, aby nie otrzymać stanowczego ciosu odmowy wyraźnej i męczył się tak skrycie, widując Maryą codzien, prawie dzień cały przepędzając obok niej i wysilając się na wesołość, na dobry humor, którego już nie miał w duszy.

Lato było upalne, w południowych godzinach pozostawano w domu, siadywano pod cieniem lipy, stanowiącej wśród ogródka willi, którą zajmowano, miejsce najprzyjemniejsze i tam to, pod lipą ową, Marya wykonała kredką portret Szopena. Miał on być bardzo podobny i jedna z siostr Szopena, Jędrzejewiczowa, przechowywała go długo, i został dopiero zatraconym w czasie katastrofy w pałacu Zamoyskich, w której ogień pożarł i inne po nim pamiątki.

Bolesny ten stan przeciągnął się do końca pobytu Maryi w Marienbadzie. Panie już się zbierały do odjazdu; on biedny widział czynione do tego przygotowania, miledzał przecież, ale przysłała nakoniec chwila, w której usta otworzyć się musiały. Pod tą samą lipą cienistą, gdzie przesiadzieli niejedną razem słodką i okrutną chwilę, zebrał się Szopen na przypomnienie Maryi praw swoich do niej, a ona słuchała ze spuszczeniem oczyma, słysząc każde uderzenie serca w piersi, i przyciskając je obiema, złożonymi na siebie rękami. Niemniej odpowiedź była okrutna: „ona nigdy nie sprzeciwi się woli rodziców, ale w sercu zachowa na zawsze, na zawsze—wspomnienie”...

Wodziński dał te wyrazy Maryi w cudzoślowie, że opisuje przytem tak szczegółowo, jak serce mówiącej było, jak przyciskać je było trzeba, aby uchronić od pęknięcia, słyszał to może z ust samej Maryi—słabej, zbyt uległej, zamało, niedostatecznie kochającej! Biedny Szopen! nie umiał sobie znaleźć kobiety, której miłość byłaby miłością prawdziwą—silną, odważną, gorącą od prawdziwego ognia serca! Pomijał te, któreby kochać tak były zdolne: z ofiarą, z podniesieniem się nad życie, któreby drobne, poziome, a oddawał serce istotom, które nie umiały tak czuć, jak on—głęboko, wiernie, skupiając w miłość uczutą najdroższą treść istnienia swego.

Biedny poeta! biedny idealista! w bogactwo swe własne, w złoto i purpurę swego ducha stroił istoty, albo słabe i nikłe, albo niezdolne kochać.

Wodziński daje Maryi w chwili tej, którą trzeba uważać za wyroczną w życiu Szopena—rok dziewiętnasty, jakkolwiek nie zgadza się to z innymi jej biografiami. I powtarza on datę tę dwukrotnie, a chciałoby się uwierzyć mu, bo dla młodej, zwłaszcza w tamtych czasach, dziewczyny parę lat mniej lub więcej, może znaczyć w danej chwili bardzo, bardzo wiele. Wychowana w posłuszeństwie, w bezwzględnej uległości woli starszych, dziewczyna młoda nie była zdolna stanąć o własnej sile miłości, pojęcia wyższych obowiązków i przeznaczeń życia, za które każdy musi sam odpowiadać przed Bogiem. Młodszej łatwiej też przebaczyć, że z lekkości. z nieśmiałości oparcia się woli rodziców skłamała własnemu sercu, i zwiódła inne serce—szlachetne, czyste, i godne—gdyby rzecz ważyć na nędznym przemianie próżności kastowej—miłości bogdaj królowy! Jak Wodziński, szlachta karmazynowa, bo dobrze zasłużona krajowi w pewnych odrodach rodu, doszła do tytułu hrabiowskiego? Zapewne w chwili, gdy Książę Warszawski, a dalej

Dwór Saski rozdawał licznie te, nie nie kosztujące zaszczyty. Senatorska godność stryja Maryi mogła przez paralele pozyskać ją rodzinie.

Nazajutrz po okrutnej rozmowie, która stała się ruiną nadziei, a nawet całego życia, Szopena, Marya z matką opuściły Marienbad. W rok poszła za męża—nieszczęśliwie, bo rozwieść się musiała, aby potem zawrzeć małżeństwo drugie. Pierwszy mąż, Skarbek, był synem tego Skarbka z Żelazowej Woli, którego Szopen ojciec był niegdyś guwernerem. Fryderyk tam się też rodził, w niskim dworku, położonym w pobliżu pańskiego pałacu, i czy Marya poszła też kiedy odwiedzić te skromne ściany?—pyta Wodziński.

Zapewne to tych ścian skromność, nizkość tego dworku, gdzie rodził się człowiek, którego kochała, wpłynęła niemało na jej posłuszeństwo córki. Niejedna, o niejedna z kobiet naszych tej, co ona sfera, wydała życie swoje boleści i żalobie przez małoduszną próżność, bo przez wstyd fałszywy zejścia, jakoby niżej. Dziś wprawdzie już to ginie, ale wtenczas dopiero, gdy już ginie wszystko—i dwory i dworki, po których wiatr miejsce zamiata. Ach! gdyby to uratować choć resztę, choć to, co jakkolwiek się trzyma i stoi jeszcze!... Pragniesz też zawołać z poetą:—A tej szlachcie znarowionej, gdyby Bóg dał rozum kmieci!... (*Pieśń o ziemi* tom IV dzieł Pola, wydanie Gebethnera i Gubrynowicza).

Raz drugi poszła Marya za Orpiszewskiego, człowieka wyższego umysłu i serca, historyka ostatnich momentów naszego żywota, po którym już sędziwa, jest obecnie wdową, kobietą samotną, bo straciła i jedynaka syna. Orpiszewski umarł niedawno we Florencji, gdzie żona przez lat ośmnaście „walczyła o jego życie ze śmiercią”, pisze Wodziński i dodaje, że swoją dolę ciężką znosi łagodnie i ze szlachetną rezygnacją. Przecie na dnie serca musi być skrytem morze żalu i goryczy, obok wspomnień takiej młodości jaką rzadko która kobieta na świecie mieć może. Być kochaną przez dwóch, nieśmiertelnie wielkich ludzi swego narodu, kochać z pomiędzy nich jednego, i poświęcić tę miłość czemuś dymowi, aby potem doczekać starości samotnej na obcej ziemi i rozmyślać o przeszłości—mieć w kolo siebie mary takich cieni i może nieraz, o! nieraz słyszeć z głębi własnej piersi podnoszący się głos wyrzutu i gorzkiego, mogącego boleśnie przeniżyć żalu; los to zaiste tragiczny!

Wodziński pisze przytem, że syn utracony miał w sobie iskrę geniuszu, jakoby przekazaną mu przez duchy tych dwóch ludzi, którzy ją kochali za ziemskiego swego żywota, a choć każde dziecko drogiem jest matce, ale do wszystkich boleści życia taką jeszcze stratę dołączyć, jest to mieć straty ciężar podwojony.

— „Nie zapomniała mistrza”...—dodaje Wodziński. Nie wzięła też rozbratu ze sztuką i muzyką jest jej dotąd pocieszycielką, przyjaciółką i ostatnim promieniem, który rozjaśnia zachód kończącego się życia. „Lata spełniły na niej swoje dzieła zniszczenia, trudno poznać w kobiecie ociążonej pod brzemieniem starości, ciemnowłosą córę Euterpy—wysmukłą dziewicę znad Jeziora Genewskiego, tę, która w godzinie pożegnania dawała blademu Szopenowi różę pamiątki. Przecieć odbłask dawnej piękności zapala jej się w spojrzeniu i wraca jej coś młodego uroku, kiedy ręce jej, o delikatnych i giętkich jeszcze, długich palcach, dotkną klawiszy fortepianu i odtwarzają jaki nieśmiertelny utwór Szopena!

— „Nikt nie może lepiej przelać w nie uczucia, duszy wielkiego sztukmistrza. Szopen młody, kochający, miłością i poezją rozmarzony, zmartwychwstaje wtedy dla niej”.

Szopen kochał jeszcze po niej kobietę drugą. Ale tak, jak kobieta, tak i ta miłość była inna. Ach! i on już był inny... To, co mu odebrał zawód, z czego zawód ten go obdarł, stało się w jego istocie brakiem, dla którego to drugie jego kochanie różniło się od poprzedniego o całe niebo czystości, jasności, i tego niepokalanego piękna, jakie łączą się tylko z miłością w świetle ideału.

Po śmierci Szopena znaleziono jakoby testamentowe jego wyznanie co do tej miłości dla Maryi Wodzińskiej, którą uważać musi za jedyną, bo jedynie prawdziwą jego miłość, każdy

kto, zdolny jest spojrzeć w głąb takiej duszy, jak Szopena. W biurku jego znaleziono w kopercie, przewiązanej na krzyż czarną wstążką, zeszlą różę, a na kopercie napis polsku ręką Szopena: „Moja bieda!”

Wodziński tłómaczy Francuzom, że to znaczy: „Moja nędza, moje ubóstwo”, i niedość dobrze tłómaczy... Była to cała serdeczna chudość biedaka, uzbierana wśród podróży życia, cały dorobek jego uczucia, przedstawiony przez kilka zwiedzionych płatków kwiatu, który nawet po uschnięciu zatrzymuje coś woni swojej. Było to tak mało, że przedstawiało nędzę, ubóstwo, ale przecież był to zarazem i skarb jakowyś—to, co miał i wszystko, co miał! Wyrażenie to nasze ludowo, Szopen zapamiętał go i użył w chwili, gdy serce jego pękało.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Grudniu 1886 r.

Sezon.—Wystawy.—Teatra.—Towarzystwa.—Rozmowa z Wiednią.

? We wszystkich stolicach europejskich układa się życie według pewnego, mniej więcej jednakiego, szablonu, który nie wzbudzałby zajęcia, gdyby, na szczęście, miejscowemi barwami i znamionami nie był urozmaicony. Wiedeń, jak to już nieraz zaznaczałem, traci właściwości dawne, a nowych jeszcze nie wytworzył, szuka, maca, naśladowuje, używa wiele zasobów żywotności, wiele talentu i dowcipu; ale, co się kiedyś wytworzy z tej mieszaniny narodowości, obyczajów, temperamentów i języków, o tem nikt jeszcze dzisiaj wyobrażenia mieć nie może. Dotąd po wierzchu, nazewną przeważają znamiona niemieckie, szablon jednak każdego sezonu układa się, nie podług Berlina, ani Drezn, ale podług Paryża. Objawów jednych i tychsamych, które się co rok powtarzają opisywać niepodobna, przypuszczając, że są one już znane. Należy tylko szukać rysów nowych lub więcej rozwiniętych, oile są znamienne i oile nas obchodzić mogą....

Wszystkie środki uprzyjemnienia życia, ożywienia stosunków pomiędzy ludźmi zostają w Grudniu w ruch wprawione. Więc najpierw wystawy. W obu towarzystwach dla sztuk pięknych starano się przyciągać publiczność środkami nadzwyczajnymi. Zwykle wystawy, sale pozawieszane mnóstwem obrazów najrozmaitszej treści bez żadnej w układzie ich myśli, ten chaos artystyczny zaczyna już wychodzić z użycia. Natomiast pojawiają się wystawy zbiorowe, bądź przez jednego artystę, bądź przez jednego rodzaju. Była wystawa krajobrazów Hoffmanna, szkiców Alta, akwarelistów. Artyści zniechęceni są do wystaw dotychczasowych, na których i najcenniejsze prace giną zbyt często w tłumie. Pomijając dzieła wielkie, które same dla siebie wystawiane być mogą osobno, artyści starają się gromadzić co najmniej kilkanaście utworów swoich, żeby zwrócić uwagę zarówno ilością, jak i wszystkimi właściwościami swojego talentu. Zdaje mi się, że objawy te wywołają reformę wystaw i warto się nad tem zastanowić. Tutaj malarze polscy powzięli byli myśl urządzenia osobnej wystawy prac swoich, za czem poszłyby może wystawa wogóle polskich malarzy, która mogłaby mieć wielkie powodzenie, jako coś szczególnego i odmiennego. Na tem polu możemy osobno i zbiorowo występować, a skoro możemy, to powinniśmy.

Doroczna wystawa gwiazdkowa w muzeum jest polem popisu dla wyrobów rękodzielniczych, uszlachetnionych smakiem artystycznym. Widać tu w tym kierunku ogromny postęp i stało się nawet regułą, koniecznością, żeby czy-to meble, czy wyroby ślusarskie, tokarskie it.p., były stylowe. Największy postęp widać w wyrobach szklanych, tak, że pojąć nieraz trudno, jakim sposobem naczynia szklane mogą być w ogniu dekorowane takimi barwnymi ozdobami i wogóle, jak może

być szkło tak preparowane, że nie łatwo odróżnić je od porcelany; wielka delikatność wyrobów, cienkość szkła doprowadzoną jest do takiej doskonałości, że przychodzi się obawiać, iż za dotknięciem wyroby rozkruszą się. Wielki rozgłos i wzięcie zyskała porcelana barwy słoniowej kości—nowości nadzwyczaj pociągająca; w obu tych przemysłach celują głównie Czechy. Osobny oddział zajmuje w muzeum wystawa wyrobów przemysłu domowego w Serbii. Celem jej jest zyskanie dla tych wyrobów szerszego zbytu w Europie, a opiekunką główną tej sprawy jest królowa Natalia. Wystawiono zbiór kilimów, dywanów, haftów, oraz wyroby snycerstwa metalowego. W tkaninach uderza jako główne znamię, że są sporządzone z materiału pospolitego, lub trwałego, a wartość nadaje im oryginalna, wschodnia barwność, ornamentyka nie szablonowa, kapy, dywany, zapaski (fartuchy), na tle czerwonym lub czarnym z przetykaniami złotymi niemi, z ornamentyką zieloną, czarną, oliwkową, złożoną z arabesków lub kwiatów—wyrabia lud wiejski, lub małomiasteczkowy na pierwotnych krosnach z pomocą najprostszymi narzędzi. Królowa zajmuje się tem, żeby pracę tę ludowi ułatwić i udoskonalić przez rozpowszechnienie ulepszonych warsztatów i narzędzi, nie zmieniając atoli wcale swojskiego, tradycyjnego charakteru tych wyrobów tak, co do trwałości materiału i farb, jak i co do ornamentyki. Dopóki przemysł ten nie ulegnie modzie i nie przyswoi sobie nowoczesnych fortelów, których dostarcza chemia, tak długo pozostanie świeżym, odrębnym, ponętym. Łatwe, tanie, ale też nietrwale sposoby, które są regułą dla europejskich fabrykatów dostają się już i na wschód, a jest to niebezpieczeństwo; w Persyi np. zakazano przed kilku laty używania farb anilinowych do wełny, żeby się wartość dywanów perskich nie zniżyła.

Nie mniej zajmującym jest oddział robót kobiecych. Trudno wymienić wszystkie rodzaje; raczej powiem, że nie ma takiego rodzaju dawnego, lub nowego, w których arcydzieł nie okazano. Są to malowidła igłowe i szydełkowe, obok malowideł olejnych na atlasie i aksamicie. W wystawie tej biorą udział i wielkie firmy handlowe, które zatrudniają liczne warsztaty pracownice dobrej płatnych, a wyuczonych w szkołach kilku stowarzyszeń i w szkołach Urszulanek. Są tu i wyroby przemysłu domowego mianowicie koronki, które wcale belgijskim i hiszpańskim nie ustępują i są w porównaniu z tamtymi bardzo tanie. Co do koronek, monopol belgijski dawno już ustał, a niebawem i galicyjskie staną na targu światowym, jako równorzędne. Wśród obfitości okazów odznaczają się przeciwieście prace wystawione przez panią Helenę Bartoży. Pani ta w komitacie Bekes-Czeba uczy dziewczęta sieroty robót artystycznych, i oto już są owocem nauki, które przekonują, że sieroty te posiadają już właściwy i korzystny sposób zarobkowania. Rozkupiono wszystko, bo też i ceny stosunkowo bajecznie niskie. Najwięcej zwracały uwagi okazy techniki łączącej tkactwo z haftem, tak, że wyroby są po obu stronach jednokie. Są tu i hafty złote i macramé i recticella, fantazyjne zapaski ze wstęgami, firanki, obrusy, ozdoby na suknie, wszystko to robią wiejskie dziewczęta węgierskie, bo się ktoś niemi zajął. Z objaśnień otrzymanych od pani B., która tutaj przebywa podczas wystawy, zapiszę to jeszcze: Na urządzenie takiej nauki, jaką ona upowszechniła, potrzeba około 300 złr. w. a. Dostaje się wyuczyć 10 dziewcząt; idą one potem w kraj i uczą inne. Dziewczęta pracują u siebie w domu, wykonywają polecenia pani B., która jest tylko odwiedza i roboty dogląda. Powtarzam, że wyroby tych dziewcząt są pierwszej doskonałości, a ceny bez porównania niższe od cen sklepowych za podobne rzeczy. Pani B., właścicielka większej fermi, zajmuje się tą sprawą, jako obywatelka, nie wyłącznie dla zysku, lecz dla podniesienia dobrobytu ludu, a korzyści otrzymane obraca przeważnie na dalsze starania w tym kierunku...

Najmniej nowości przyniosły teatru. Jedna opera „Merlin“, Goldmarka, muzyka uczona ze szkoły wagnerowskiej, text Lipinera, najlepszego tłumacza „Pana Tadeusza“; dwie wesołe operetki

„Hofnarr“ i „Vagabund“, i na tem koniec. W teatrze cesarskim repertuar żyje tylko dawnymi sztukami, a sięga nawet do „Króla Edypa“ Sofoklesa; w innych teatrach prócz operetek pojawiają się posy bez wartości, więc i te teatru odzwyczajają się tylko Nestorem i Raymundem. Ta jałowość na polu scenicznej produkcji dała powód do konkursu na sztukę ludową—dla ludu miejskiego. Konkurs nie powiedzie się, bo ludu tego już niema, tylko zbiorowisko najrozmaitszych żywołów... Dla stworzenia ruchu towarzyskiego wznowiono t. z. Gesellschaftsabende. Uczestnicy schodzą się koło 10 wieczorem i najprzód odbywają się produkcje wokalne, dramatyczne, wykonywane przez siły z teatrów, a koło północy rozpoczynają się tańce. Jest to niby towarzystwo, boć tańczą razem, ale się ani znają, ani widują potem przez cały rok i większość uczestników obojej płci—nudzi się. Już to Wiedenki wielką mają biedę same ze sobą. Ot, na przykład, przytoczę tu rozmowę autentyczną:

Wiedenska. Ach, nudzę się w sposób przenośliwy....

Osoba druga obca. Jaktó? pani? młoda, piękna, bogata, mając męża, słicznego synka....

Wiedenska. Ale mi to życia nie zapełnia, dziecko mnie męczy, teatru się przejadły, towarzystwa nie dobrane....

Osoba druga. Ależ niech się pani czemś zajmie....

Wiedenska. Zajmuję się przeciwieście wszystkim, co do mnie należy, ale cóż poza tem?...

Osoba druga. Czy się pani tylko naprawdę zajmujesz? Bielizną, kuchnią, zakupami, dzieckiem zajmują się ludzie, służba; pani ledwie wiesz, co o tem; ależ muzyka, książki? stroje?

Wiedenska. Wszystko, co tylko ważne, przeczytałam, grałam i śpiewałam, mam tego już za dużo, a stroje nudzą mnie najbardziej, choć dbam o nie....

Osoba druga. Na to już chyba pragniesz pani jakich sercowych sukcesów....

Wiedenska. Jako żywo! a toż to szablon najwykleszy....

Osoba trzecia, obca. Ja pani rozwiążę zagadkę, ale muszę mówić bez ogródek....

Wiedenska. Proszę, pozwalam.

Osoba trzecia. Przyczyną pierwszą jest to, że nie masz pani wychowania; tak, tak—proszę się nie obrażać. Otrzymałaś pani wyjątkowo lepsze wykształcenie, nabrałaś dużo wiadomości, lecz serca, charakteru wcale! pani nie formowano nawet samaś nad tem dotąd się nie zastanowiła. Natomiast musiało pani wszystko spowszednieć, od czasu bowiem, gdy byłaś dziewczynką lat 6, czy osmiu, orano panią na wszelkie widowiska, operetki, pikniki, kraenzchen, strojono; nasłuchiwałaś się pani i napatrzyłaś tyle na to, co warto i nie warto, że urosłaś na pannę byłaś już zblazowana, już tylko nadzwyczajności mogły działać na twoją wyobraźnię i nerwy—tak dalece, że nawet natura alpejska panią nudzi. Społeczeństwo, w którym pani żyjesz, trwoni życie z dnia na dzień bez żadnego innego celu prócz używania, więc nie mogło na panią korzystnie wpłynąć, nie mogło pobudzić do odrobienia w sobie tego, co było zaniedbanem. Proszę mi powiedzieć: o czem pani lubisz myśleć? czy myślisz pani o czem i nad czem? czy zajmowałaś się pani kiedykolwiek pytaniem: jakie jest zadanie rodziny, ogniska domowego, które masz przeciwieście zadanie społeczeństwa? Czy masz pani jakąkolwiek prawdziwą religią? czy zastanowiłaś się pani, kiedy nad tem, co to jest ojczyzna? czy masz pani ojczyznę?...

Wiedenska. Mówisz mi pan same impertynency; może nawet masz racją; ale musiałabym się trudzić nad tem, żeby płynąć z panem po tych mglistych przestworzach, a to mnie męczy, nudzi—no nudzi mnie, i koniec, podaj mi pan oto cukierki.

Osoba trzecia. Wiedenska bywa cukierkiem nieraz, ale nie tak prędko nie nudzi, jak cukierki. Nie ma dla was rady. Na wiedeńskim bruku nie może się rodzić prawdziwa kobieta—człowiek: nie ma dla siebie warunków. Będziesz się pani nudzić do końca życia; wśród ciągłego gwaru i hałasu, wśród widowisk i tłumów, nadarmo będziesz szukać sobie miejsca, bo nie wiesz, że najlepiej

w domu między swojemi, że trzeba być żywą częścią społeczeństwa, a nie publiczności....

Wiedenska. Amen; dosyć już tego, bo to przeraźliwie nudne. Widzę, że nawet już rozmawiać nie będę mogła.... żebyż choć nareszcie wziął mróz, może się bodaj na lodzie rozerwę. Przy ślizganiu najmniej jeszcze szablonu. Ot zajmę się łyżwami i kostiumem....

Oto taki był pierwszy akt sezonu zimowego w Wiedniu.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Sfotografowanie Drogi Mlecznej.—Straszliwa siła piorunu.—Niezwyczajne zjawisko wytworzenia się sześciu trąb morskich w ciągu pół godziny.—Zdejmowanie widoków fotograficznych w balonie.—Kolosalne działo Bange'go.—Nowa, genialnej konstrukcji, machina piekielna.—Przeniesienie latarni morskiej 70 stóp wysokości mającej.—Jak wielkie niebezpieczeństwo zagraża gimnastykom kąpielowym.—Pochodzenie różnic w zatruciach siarkowodorem.—Nowa plaga winnic.—Nowa metoda w leczeniu obłądki umysłowej.—Wyniki pozyskane z badań dundaki-ny.—Odnalezienie szczątki wyprawy p. Crevaux.

(Dalszy ciąg).

Bange jest twórcą nowego olbrzymiego działła stalowego, 34 centymetrowego kalibru, (przeszło 14 calowego).

Waży ono 37½ beczek, dochodzi długości 39 stóp, średnica jego zewnątrz ma 5 stóp, wewnętrzna 10 cali.

Pocisk waży 1,035½ do 1,480 funtów, odpowiednio do wewnętrznej budowy działła, które może objąć 445 do 493 funtów prochu, co zależy od jego gatunku. Wysokość morderczej maszyny dochodzi 4½ stóp polskich! Pierwotna szybkość pocisku wynosi 2,253 stóp; maksymalna jego dościsłość osiąga 6,240 stóp polskich.

Po wyjściu z kuźni łożo działła ma zaledwie 12½ cali w średnicy wewnętrznej, potrzeba więc je wiercić, a praca ta trwać musi bez przerwy 21 dni i tyleż nocy. Bange dokonał tego trudnego zadania, zapomocą maszyny własnego pomysłu. W czasie operacji przyrząd posuwa się obrotowo w głąb łoża, działło zaś pozostaje nieruchomem.

Od czasów Fultona, wynalazcy statków parowych i podwodnych, wielu usiłowało zbudować szalupy podmorskie, zanurzające się całkiem w morzu, zaopatrzone w powietrze ścięśnione w ilości dostatecznej do utrzymania oddychania, w ciągu mniej więcej długiego czasu. Dwóch tylko ludzi mógł pomieścić taki statek, co było wystarczającym do jego obsługi.

Budowa niektórych szalup tego rodzaju w pewnym stopniu powiodła się wynalazcom; natomiast wiele innych przyrządów przedstawiało wielce wadliwą konstrukcyę. Dość tu przytoczyć że wynalazca statku podmorskiego *Nautilus*, z którym próby odbywano w przystani Hawru, pogrążony w topieli wodnej, nie mógł z niej się wydobyć, i przyplacił życiem śmiało swe pokuszenie. Przyczyną jednak potrzeba, że w ostatnich czasach, szalupy podwodne zostały udoskonalone; budowano je też wyłącznie w tym celu, aby mogły służyć do wyrzucania torpil. Groźnym jest statek torpilowy, jeżeli normalnie funkcjonuje pod wodą, ponieważ ukryty w głębi fal morskich, niewidzialny, może z wielkim bezpieczeństwem osiągnąć okręt nieprzyjacielski i wysadzić go w powietrze.

Ustrój wszelako takich szalup przedstawia nie-małe trudności; przed kilku laty zbudował podobny statek inżynier duński Nordenfalk; odbyte wszelkie doświadczenia nie dały pożądaných rezultatów. Twórcą nowej straszliwej maszyny piekielnej, jest inżynier francuzki Goubet.

Przyrząd jego odznacza się nieporównaną prostotą. Zbiornik z powietrzem ścięśnionem posługuje do oddychania dwóm tylko osobom, jakie może pomieścić statek, to jest officerowi i maj-

tkowi. Dwaj ci ludzie wchodzą do szalupy torpillowej przez kopułę, której pokrywa zamyka się z nimi i siadają na zbiorniku, ten zaś, pod naciskiem ich ciała, dostarcza płuciom ożywczego gazu oddychalnego.

Przez okna oszklone, pomieszczone w ścianach statku, mogą ci ludzie doskonale widzieć otaczający ich ośrodek. Dla wybrania kierunku, officer przed zanurzeniem się szalupy, zapomocą celownika pomieszczonego na jej przodzie, wymierza drogę, na jakiej może osiągnąć punktu danego, poczem zaznacza na bussoli jej kierunek. Za balast służy woda, zapełniająca jedną z przegród statku, którą pompa wypróżnia, gdy chodzi o wzniesienie się, lub zapełnia wodą, gdy potrzeba szalupę zanurzyć. Co więcej w razie uszkodzenia mechanizmu, ciężar bezpieczeństwa może być łatwo odjętym, a wówczas statek wpływa na powierzchnię morza.

Torpilla, którą taka szalupa ma wbić w bok okrętu nieprzyjacielskiego, pomieszczoną jest zewnątrz, pod szalupą. W chwili akcyi ustawia się tę niszczącą machinę: naprost nieprzyjaciela, poczem, odstępując do odległości stu metrów, rozwiną się drut przewodnikowy po którym splywa do torpili prąd elektryczny za pośrednictwem stosu Wolty.

Motorem i sterem tego statku podmorskiego jest elektryczność.

Wypada nam dodać, że przyrząd taki może tylko przez kilka godzin pozostawać pod wodą, i że torpilla powinna działać z jaknajwiększą szybkością. Szczegółowy opis tej straszliwej maszyny pomieściło pismo: „Les annales industrielles.“

Gdyby nie wzgląd na ten poważny organ, przeczytalibyśmy wynalazek Goubet'a za wytwór wyobraźni, godzin pomieszczenia w cudotwornych powieściach naukowych Juliusza Verne'a.

Przy wejściu do portu Tay w 1886 roku zbudowano w Buddonest na wzgórzach piaszczystych, dwie latarnie morskie z cegły, spoczywające na piedestale kamiennym.

Wskutek zamulenia przystani droga przepływu statków została zmienioną; postanowiono zatem przenieść jedną z latarni w inne miejsce, aby jej ogień, krzyżując się ze światłem drugiej latarni, oświetlać mogły dostatecznie nowy kanał. Latarnia ta miała 70 stóp wysokości, ważyła 440 beczek, a odległość jej od miejsca, na które ją zamierzono przesuwać, wynosiła 280 stóp polskich.

Dla przeprowadzenia tej masy muru po gruncie wytworzonym z drobnego piasku, a gruntem wielce ruchomym, przetrzynięto ją powyżej fundamentów w siedmiu miejscach, — przesunięto tarcice jodłowe mające podtrzymywać wieżycę, i pod nie podłożono walce przesuwalne. Aby zabezpieczyć fundamenta od obsuwania się, opasano je łańcuchem oczkowym, wzmacniając nadto rusztowanie stemplami i pierścieniami żelaznymi.

Sześć machin, obsługiwanych, każda, przez dwóch ludzi — wystarczyło do poruszenia z miejsca tego gmachu, który następnie przesuwało przy pomocy trzech machin, każda z obsługą jednego człowieka.

Latarnia posuwała się do miejsca przeznaczenia z przeciętną szybkością 25 milimetrów na minutę, czyli przeszło 5 stóp polskich w godzinie.

Dla nadania ślizkości walcom przesuwalnym, powleczono je mieszaniną złożoną z łożu, z mydła czarnego i grafitu. Gdy wskutek ciśnienia niektóre części budowli obsuwały się, zdejmowano kamień po kamieniu, dla ułożenia ich następnie w miejscu przeznaczonym na posterunek latarni. Przesunięcie odbyło się pomyślnie;

tarcice, stemple, łańcuchy, ankrzy—słowem: całe rusztowanie odjęto; latarnia stanęła. Przeniesienie jej zajęło dziewięć dni czasu, a jeden miesiąc wystarczył do ukończenia odbudowy jej podstawy i wieży.

Nie pierwszy—to raz dokonano tego rodzaju operacyi, wszelako warunki, w jakich to odbyła się w Buddonest były niezwykle, i dlatego je zaznaczamy. W rzeczy samej ogromny ciężar gmachu i grunt ruchomy, po którym go przesuwało, mogły stawiać i wistocie stawały, trudną do przewyciężenia przeszkodę. Pomimo biegle zastosowanych środków sztuki inżynierskiej, mogły być udaremnione wszelkie jej wysiłki.

Wielu amatorów kąpieli nie zachowuje w rzeczy koniecznych ostrożności, narażając nieraz swe zdrowie a nawet życie. Odnosimy to głównie do popisującej się z gimnastyką młodzieży, która z nieogłędną brawurą skacze do wody z trampoliny dość wysoko wzniesionej.

Rzucić się można do wody z bezpieczeństwem z niewielkiej tylko wysokości, i w tym razie jedynie, gdy uderzamy o jej powierzchnię klinem rąk silnie z sobą złączonych i na przód wysuniętych, lub nóg ściśniętych ku sobie. Uderzając zaś o wodę ciałem na płask tak piersią, jak i bokami, napotykamy opór cieczy piętnaście lub dwadzieścia razy silniejszy, niż w zwykłych warunkach, i narażamy się na rozbicie klatki piersiowej lub złamanie żeber.

Udowadniają to liczne, oplakane wypadki, z których przytoczymy jeden niedawno zaszły w Ameryce.

Biegły pływak i znakomity gimnastyk Odlun założył się, że skoczy w wodę przystani oddzielającej Nowy-York od Brooklynu, z mostu, to jest z wysokości 139 stóp polskich.

W spadku ciała jego, pozostające zrazu w położeniu prostopadłym, uległo wkrótce zboczeniu, pomimo energicznych wysileni gimnastyka, który runął w wodę zwinięty w kłębek, uderzwszy o nią bokiem. Towarzysz jego, Boyton, równie dziwny pływak, przypatrując się temu z mostu, nie widząc Odlun'a wypływającego na powierzchnię, rzucił się z kolei z tegoż mostu na jego ratunek. Po trzech minutach poszukiwań Boyton zdołał wydobyć z topieli jeszcze żywego towarzysza, który z wysileniem zapytał: czy publiczność była zadowolona z jego skoku? Niestety po chwili skonał w najokropniejszych męczarniach. Gwałtowne uderzenie bokiem ciała o wodę połamało mu żebra, które wyszły na wierzch, i zerwało wszystkie prawie naczynia krwionośne.

Smutny ten wypadek powinien być przestrogą dla lubowników tego rodzaju niebezpiecznych ćwiczeń.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Wystawczyniom na Wystawie sprzętów i odzieży w Muzeum Przemysłowym przypadło nagród i znaków odznaczenia 33. Za wyrób kwiatów sztucznych otrzymały potwierdzenie wielkiego medalu srebrnego panie: Wanda Siwińska i Antonina Szymkiewiczowa, medal srebrny Karska, Anna Fiszer list pochwalny. Potwierdzenie medalu srebrnego za szycie otrzy-

mał Zakład Ś-tej Marty. Szwalnia Warszawskiego Towarzystwa Dobroczyńności i pensya Bronisławy Leśniewskiej, listy pochwalne. Za wyroby pończosznicze Kazmira Fijałkowska, potwierdzenie medalu brązowego, Emilia Wejsenhof list pochwalny. Medale brązowe przyznano: za wyrób gorsetów pracowni pod znakiem: „Au bon marche”, fabryce kreplisów Joanny Listopadowej, oraz pracowni dżetów Antoniny Święckiej. Listy pochwalne za hafty otrzymała Marya Faleńska, pracownia Reyskiej, Józefa Bierzyńska, a także fabryka wyrobów włóczkowych Karoliny Benjamin i zakład prania „Matyldy”.

Za koronki otrzymała list pochwalny Sylwia Biedrzycka.

Szkoła rzemiosł siostr Korycińskich i szkoła Rossowieckiej otrzymały listy pochwalne.

Za malowanie otrzymała medal brązowy pracownia malowania na atlasie Zofii Adelstein i pracownia malowania na porcelanie Elly Williamson. Listy pochwalne za malowanie na atlasie i porcelanie: Gabryela Jasińska, Marya Janiszewska, Józefa Radziejewicz, Marya Milicerowa, Jadwiga Milicz, Amelia Rosenblum, Zofia Powichrowska, Zofia Igelström, Karolina Szmurłówna, siostry Jackowskie.

Nagrodę pieniężną za wyroby wełniane otrzymała Józefa Barszczewska, w kwocie rs. 5.

— Czytelnia dla kobiet została otwartą na Krakowskim - Przedmieściu Nr. 7, zaopatrzoną w książki naukowe i bellestryczne w czterech językach: polskim, francuzkim, niemieckim i angielskim. Abonament miesięczny jest za książki w dwóch językach 2 zł. gr. 20, w trzech 3 zł. gr. 10, w czterech 4 zł. Kaucya miesięczna rs. 2. Czytelnia wypożycza na tychsamyh warunkach najnowsze miesięczniki i dwutygodniki tak miejscowe, jak zagraniczne. Czytanie tychże na miejscu 10 gr. za jedno wejście. Czytelnią kieruje M. Chojcka.

— O sklep gospodyń wiejskich upomina się *Gazeta Radomska*. Już kilka wsi okolicznych oświadczyło się z gotowością dostarczania tamże codziennie mleka, serów, jaj owoców i tym podobnych produktów gospodarstwa wiejskiego „Gazeta“ dodaje, że niech tylko sklep taki otworzy się, odpowiednio urządzony, a towar spożywczy napływać będzie licznie i stale, peryodycznie. Ze zysk byłby obustronny, producentów i kupujących poświadcza fakt, przez „Gazetę“ podany, że na przeszłorocznej wystawie nagrodzone gomulki p. G. ze wsi M., sprzedawane przez nią po gr. 6, dostają się konsumentom radomskim po gr. 20. Stosunek taki jest wszędzie i zawsze: usuwając pośredników mogłyby domowe gospodarstwa wiejskie stać się dla właścicieli źródłem dochodów pewnych i znacznych—gdyby przecież dostawa odbywała się stale, i regularnie, według deklaracyi: na jaką dostawę i w jakim czasie sklep możelicyć? Ze dotychczas gospodynie wiejskie traktowały przeważnie sklepy wiejskie lekko, że odszły ją to tylko, czego miały do zbytku—że rzecz nie była traktowana jako przemysł, i przy licznej obsłudze, popańsku wykonywana, nie przynosiła odpowiednich zysków; upadało to wszędzie. W Warszawie sklepy gospodyń wiejskich zostały zupełnie zdyskredytowane, ale taka jest dla nich życzliwość ogółu, że mogłyby odżyć, gdyby producentki dokładając własnej pracy, oszczędnie i na koniecznych w handlu warunkach, pracować chciały.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ: Wieczyste piękno, poezya przez El-y. — Pogawędka. — Zabiegi pana Piotra, powieść (dalszy ciąg), przez Sewera. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Trzy miłości Szopena,, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń. — Z działu przyrody. (dalszy ciąg), przez W. Niewiadomskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 10-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika. — Przegląd mód. — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

PRZEGLĄD MÓD.

Czy można być na balach i czy można tanio się ubierać? — Śliczne rzeczy na balowe tualety u pani Heurich (róg Miodowej i Senatorskiej) — Jakże z tych tkanin urządzić suknie i jakie tanie? — Bukieciki do włosów.

Zewsząd się słyzy o projektowanych balach: inżynierskim, panińskim, na Dobroczyńność, dalej o wieczorach prywatnych, choć się to łączy z utyskiwaniem, że tualety kosztują, a czasy są ciężkie. Postanowiłam też sobie sprawdzić, jaki też rzeczywiście może być koszt tualety i czy osoba nie należąca, ze względu na swój stan majątkowy do tych klas, które trzeba nazwać zbytkującymi, może być na zebraniach tańczących, bez narażania się na wydatek tak znaczny, że musi stanowić to przeszkodę, jeżeli rozsądek stoi wyżej nad pragnieniem zabawy?

Otóż odpowiadam, że nie — że tak nie jest, jeżeli tylko panna, czy młoda mężatka nie powie sobie, iż w jednej i tej samej tualecie, nie może się być kilka razy na zabawie i taka niech lepiej przez chęć wystawności, odmówi sobie rozrywki naturalnej w młodym wieku i niech siedzi w domu. Za dawnych, o wiele lepszych czasów, bogate nawet panny, tańcząc w czasie karnawału kilkanaście razy, obywaty się dwoma muślinowymi lub z lekkiej jakiej tkaniny wełnianej w rodzaju bareżów sukienkami, jedną białą, drugą różową lub niebieską, zmieniając czasem kwiatek lub wstążkę — i wierzajcie mi panie, że w owych czasach, bawiłyśmy się lepiej, niż wy dziś i nawet średnio zamożna bawiła się dobrze, bez nadwyżęzania majątku rodziny. I szły takie panny za



Nr 1. Sukienka dla pany od 3 do 10 lat. (Do ryc. 31). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII. fig. 52 — 60.

a choć są one dość kosztowne, to można sobie niemniej tualetę nie drogą z nich zrobić, jeżeli się suknie nie w magazynie, ale w domu uszyje, jeżeli się dodatków do niej starannie samej poszuka i nosi się ją przez cały karnawał. Nie oto chodzi zapewne osobie rozsądnej, aby roztaczała zbytkowne tualety, lecz aby w nich dobrze wyglądała, co się da otrzymać, dopóki tylko suknie świeżości nie straci. Przeglądając wyroby na balowe tualety, znalazłam u p. Heurich śliczne rzeczy — naprzykład: rodzaj gazy w paski jedwabne podwójnej szerokości, w jasnych barwach, a że dziś się nie obładowywa sukni mnóstwem falbanek, więc zrobiwszy skromną sukienkę, podpiętą kilkoma kokardami — mieć będziemy śliczną tualetę, nie zbyt drogą, choć z droższego materiału.

Drugim rodzajem tkanin lekkich, były pasy haftowane, na białym cieniutkim wełnianym muślinie kolorową pelą, w różowym, niebieskim i modnym kolorze heliotropu — pasy te szły w odstępach 10 centymetrów, materiał szeroki, po 3 ruble łokieć — tego materiału bierze się 2 lub najwyżej 2 i pół łokcia — krajają się pasy, których z 2 i pół łokcia jest 20 łokci i temi przybierze się gładką białą batystową, woalinową, lub alpagową suknię. Trzeci rodzaj był już strojniejszy, dla mężatek, — suknie z wełny lekkiej, pasowane z bokiem haftowanym fryzowanym haftem, jedwabiami — każdą figurę kwiatu otaczał gruby jedwabny sznurek — całość śliczna — suknie taka kosztuje wprawdzie 30 rubli — ale już też żadnego garnirunku nie potrzebuje — całe przybranie sukni jest razem, byle ładnie i zręcznie zrobione, a tualeta będzie śliczna — zostanie na rok przyszły — daje się następnie prać i farbować. Nie mówimy już o gładkich lub drukowanych woalinach, które się piorą jak bielizna i są tanie,



Nr 2. Bransoletka z amuletami.



Nr 4 i 5. Broszki srebrne.



Nr 3. Dewizka do zegarka (chatelaine).



Nr 6. Broszka srebrna z brązowym okuciem. $\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej.



Nr 8. Sukienka dla dziewczynki od 8 do 10 lat. (Do ryc. 1).



Nr 7. Broszka w stylu „renaissance”. $\frac{2}{3}$ naturalnej wielkości.



Nr 9. Stanik do balowych sukien. Opis odwr. str. tabl.

mąż, nie tylko już dla tego, że tanie zabawy dawały możliwość częstego spotkania się ze sobą młodzieży. Przekonywano się dowodnie, że panna nie jest pyszną i wystawności do warunków niezbędnych życia nie liczy, że umie się bawić skromnie, więc życiu jego wesolych blasków nie odejmie i zarazem mienia swego nie nadwyżęz, na głowę męża nie rzuci ciężkich trosk, jakie życie nad stan sprowadza.

Nowych fantazyjnych tkanin, mamy obecnie bardzo wiele,



Nr 10. Stanik do balowych sukien. Opis odwr. str. tabl.

bo 12 lokci podwójnej szerokości, wystarcza na najbogatszą suknię, że zaś lokciec jest po 75 lub 80 kop., wyniesie to nie całe 10 rubli. Kto ma jaką jedwabną jasną, choćby najstarszą suknię, a kto takowej nie ma, to niech użyje satynety i pokryje to jednym z bawełnianych koronkowych materiałów, które nam w magazynie p. Heurich pokazywano, garnirując ślicznymi klockowemi koronkami, których wielki wybór po bardzo tanich cenach, posiada skład koronek w znanej fabryce parasoli, starej, a zawsze bardzo rzetelnej firmy Hofert — przy ulicy Senatorskiej, wprost Roetzlera domu.

Dalej jeszcze pokazywano nam u pani Heurich materiał lokciowy, koronkowy, czarny w gipsurowy ciągnięty deseń, którą przykrywszy przenoszona jedwabną, albo jak mówiliśmy satinetową suknię, można mieć śliczną nową tualetę. Kto się chce tanio ubierać, może się ubierać tak i dzisiaj, tylko trzeba zadać sobie trochę trudu, materiałów odpowiednich sobie poszukać i w domu przy pomocy przychodniej szwaczki, z wzorów naszego piśma robić. We włosy i do piersi wpina się mały bukietik drobnych kwiatów, u stanika przypina się nie na boku, lecz między gorsem, a jakie śliczne widzieliśmy w fabryce panien Hoffman, Nowy-Swiat Nr 41 — lub u pani Sempolowskiej, Ś-to



Nr 12. Kostium sukieny Plecy. (Do ryc. 1)



Nr 11. Suknia dla młodej osoby Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IV, fig. 29—38

Teczka na nuty.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 2

Teczka z pluszu z połączanemi rygielkami przy pałeczku i połączanym zameczkiem. Na taką teczkę potrzeba 45 centimetr. pluszu w kierunku długości, a 38 cent. w kierunku szerokości. Przyzodobiwszy część przeznaczoną na klapę gałązką haftowanych atlaszkiem kwiatów, należy wzdłuż zgięcia wszyć pałeczkę drewnianą, zakończoną złożonemi gwoździkami, poczem należy podszyć całą teczkę kolorowym atlaszem, wszywając jednocześnie przedziałkę z tektury i atlasu, szerokość 8 cent. W końcu należy zamocować pałeczek obsyty pluszem i przytwierdzić zameczek podług ryciny, tak ażeby kłapa zachodziła przynajmniej 9 centim. na dolną część teuczki.



Nr 13. Kostium sukieny. Przód. (Do ryc. 2).

Poduszeczka haftowana do igieł.

Rycina Nr 10 w Bl. Nr 2

Podłużna poduszeczka do igieł, obciążona atlaszem ciemno-pasowym, haftowana w fantazyjne kwiaty filozelą koloru poziomkowego i złotą japońską przędzą. Narożniki i podłużne kan-



Nr 14—16. Trzewiki balowe i wieczorowe

Krzyzka Nr 17, czy wreszcie u panny Kozłowskiej, dom Roetzlera, a wszystkie tak przystępnych cen.

L. Ć.

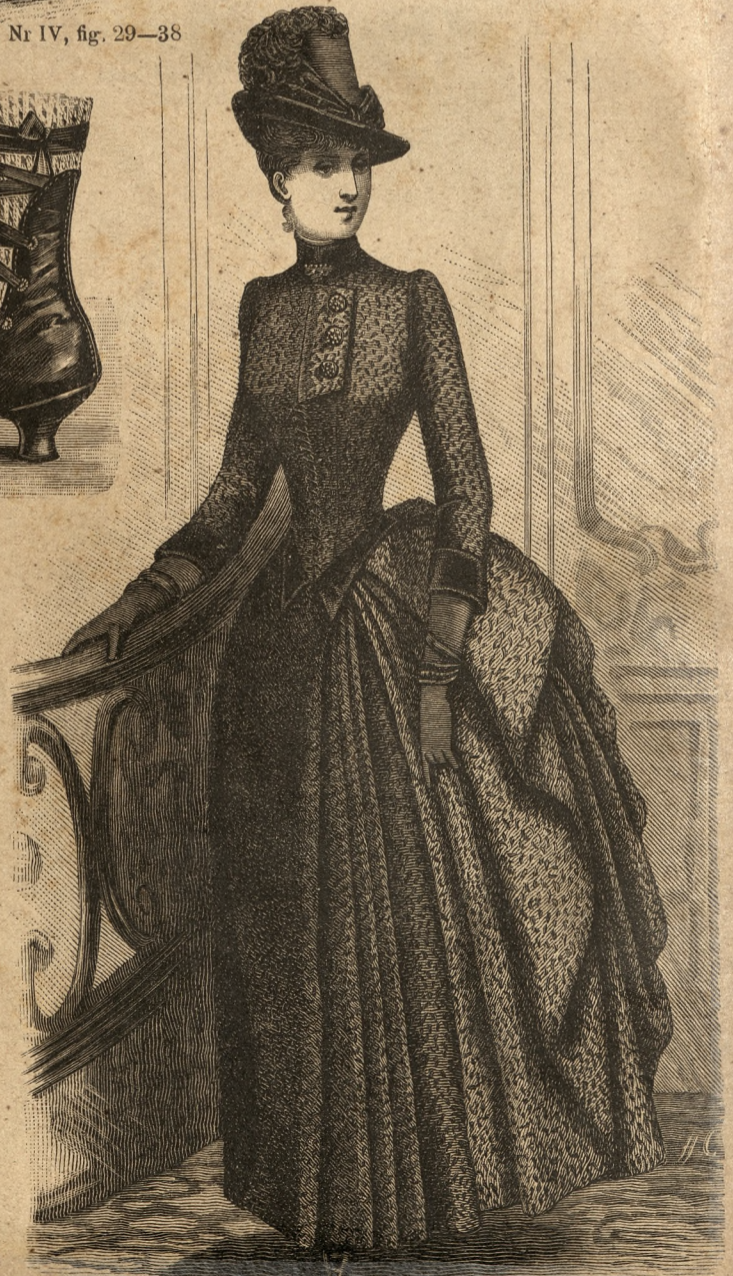
Deseń na woreczek do roboty.

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 2

Deseń wykonany w średniej grubości rzadkiem płótnie, kordoniem oliwkowym i pasowym, płaskim prostopadłym ścięgiem. Żeby należy wykonać kordoniem oliwkowym, przez 12 nitki tkaniny; 10 ścięgiów w kierunku od góry do dołu, rozpoczynając każdy ścięgi o 2 nitki niżej, poczem 9 ścięgiów w kierunku odwrotnym, każdy ścięgi o 2 nitki wyżej; kany żebów poprzedniego i następnego z rzędu powinny się zchodzić.



Nr 17. Suknia z materiału w deseń. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—17.



Nr 18. Suknia z angielskiego materiału.

ty poduszki z doli frendzla jedwabna z pomponami, dwa zaś kanty poprzeczne zakończone są metalowymi uszkami.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 2

Koronka z krętej bawełny Nr 70, składa się z oddzielnie robionych kwadracików, spojonych następnie i otoczonych kilkoma kolejami, wzdłuż roboty wykonanymi. Każdy kwadracik rozpoczyna się na kółeczku z 9 pow. oczek, połączonych 1 ścis. ocz. łańc. Kolej 1: 4 pow. ocz., 6 podw. sł. w kółeczku, 3 razy naprzemian: 7 pow. ocz., 7 sł. podw. w kółeczku, 7 pow. ocz., 1 ścis. ocz. łańc., w 4 z pierwszych 4 pow. ocz. Kolej 2: 4 pow. ocz., 4 razy naprzemian: 1 słup. w 2 z rzędu ocz., 1 pow. ocz., poczem * 3 słup. co drugie ocz., po każdym słup. 1 pow. ocz., 6 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 słup. w 2 z rzędu ocz., 1 pow. ocz., od * dwa razy powtórzyć, poczem 3 słup. po każdym 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. łańc. w 4 oczko z pierwszych pow. ocz. tej kolei. Kolej 3 na przemian: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ocz. (na każdym rogu należy opuścić 1 oczko, zamiast 2 ocz. Każdy następny kwadrat robi się w ten sam sposób, przyczem każde środkowe oczko znajdujących się 7 ząbków z jednej strony kwadracika, należy spoić z odpowiednim oczkiem następnego kwadracika. Doprowadziwszy robotę do potrzebnej długości, należy wykonać w kierunku długości dolną połowę koronki. Kolej 1: 1 słup. w ząbek narożny pierwszego kwadratu, * 5 razy na przemian: 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w drugi ząbek pow., poczem 2 razy naprzemian: 5 pow. ocz. 1 słup. w następne 2 ocz. następnego ząbka, od * powtórzyć. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 słup. w najbliższe 5 ocz. pow., 3 pow. ocz. Kolej 3: * Na jeden skrzyżowany słup. 1 potrójny sł. w najbliższy słup. dolną żyłkę przerobić, poczem 1 słup. w następny słup. górną żyłkę przerobić z następną żyłką potrójn. słup. wreszcie wszystkie żyłki przerobić kolejno, poczem 1 ocz. pow., 1 słup. w środkową żyłkę potrójnego słup., od * powtórzyć. Kolej 4: * 1 ścis. ocz. w najbliższe pojedyncze ocz., 9 ocz. pow., 1 ścis. ocz. w 6 z rzędu ocz., 10 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 9 z rzędu ocz., 9 pow. o. 1 ścis. ocz. w 6 z rzędu oczko, od * powtórzyć. Kolej 5: * 12 ścis. ocz. w pierwsze 9 pow. ocz., pomiędzy 3 a 4 z 5 pow. ocz., 12 ścis. ocz. w następne 10 pow. ocz., 6 ścis. o. w pierwszą połowę następnych 9 pow. ocz., przerobić 7 ocz. z poprzednich 12 ścis. ocz. 9 pow. ocz., przerobić 6 z poprzednich 12 o. ścis., z których 3 i 4 przedziela 5 pow. ocz. 12 ścis. ocz. w ostatnie 9 pow. ocz., pomiędzy 3 a 4 ocz., 5 pow. ocz. 6 ścis. ocz. w drugą połowę z następnych 9 pow. ocz., 9 pow. o., przerobić 6 ocz. z 12 ścis. ocz., z których 3 i 4 przedziela 5 pow. ocz., 12 ścis. ocz., pomiędzy 3 a 4, 6 a 7, 9 a 10, 5 pow. ocz., dwa razy 6 ścis. ocz. pomiędzy 3 a 4 5 pow. ocz.,

od * powtórzyć. Na górny brzeg koronki wykonać 3 koleje jak 1 do 3 kolei, poczem 2 koleje ści. ocz., przyczem obejmować pow. ocz. znajdujące się pomiędzy krzyżkami górnego szlaczku.

Ubranko z wstążki, koronki i kwiatów.

Rycina Nr 15 w Blu. Nr 2.

Skroiwszy z petynety podstawkę 7 cent. długo, a 4 centim. szeroką i objawszy takową drucikiem i wstążeczką, należy ją obszyć marszczoną koronką haftowaną, 12 cent. szeroką. W koronke umieścić trzy róże herbaciane. Węzły z wstążki koloru „saumon“ uzupełniają ubranko, które się nosi na boku głowy, wśród ułożonych pukli z włosów. Grzebień szyldkrętowy, widoczny wśród wstążki, służy do umocowania ubranka na głowie.

Ubranko na głowę.

Rycina Nr 16 w Blu. N. 2.

Ubranko to złożone jest z sześciu sterzących pukli z wstążki pasowej z pikotami, 6 i pół cent. szerokiej, dwa następne coraz niższe. Kokardka z ciemno-szafirowej wstążki i grzebień szyldkrętowy, służący do przypięcia ubranka na głowie, uzupełnia całość podług ryciny.

Suknia z angielskiego materiału.

Rycina Nr 18

Suknia ta zrobiona jest z popielatego szorstkiego materiału, upięta podług ryciny. Stanik z kłapą, zasznurowany na przodzie, zdobi kolnierzyk i mankiety, tudzież rodzaj bawecika z ciemnego pluszu.

Kostium sukienny.

Rycina Nr 19 i 20. Krój pierw. str. tabl. fig. I i II.

Spódnicę z oliwkowej materyi, 206 cent. obwodu w dole mającą, uzupełnia wykoka falbana z oliwkowego sukna, w szerokie plisy ułożona, z przodu i na bokach 240 cent., z tyłu 360 cent. szerokości mająca. Wypustka z sukna piaskowego koloru, zdobi brzegi falbany podług ryciny. Na bokach, gdzie schodzą obie części falbany, zdobią takową podług ryciny, naprzemian leżące pateczki, naśladujące zapieczę. Na tiunikę ukroić z oliwkowego sukna, podług fig. I jedną część złożoną wzdłuż środka, oraz podług fig. II tylnie upięcie, powiększwszy poprzednio formę o 20 razy, za pomocą centimetra. Liczby w konturach form dają wymiary długości i szerokości części, liczby po za obrębem konturów, od punktu *a* i *b*, oznaczają punkta znaków i linii, liczby wewnętrzne służą do prawidłowego zeszywania części. Po rozcięciu fig. I wzdłuż podwójnej linii, należy upiąć takową na spódnicy, zamocowując każdy † na kropkę, poczem w fig. II należy również zamocować u góry każdy † na kropce, oraz każdy † zaopatrzone literą, na odpowiedniej kropce, tudzież **e*, *f* i *g*, wreszcie tylnie upięcie zamocować na przednim od liczby 3 do 4, po lewej stronie zaś fałdy *d* i punkt oznaczony gwiazdką, na liczbie 4 i na * fig. I, poczem upięcie razem ze spódnicą należy wszyć w pasek. Stanik zdobi kamizelka z piaskowego sukna, zapinana z przodu na ukryte haftki.

Trzewiki balowe.

Rycina Nr 14—18.

Pantofelek ryciny Nr 14 ze złożonej skóry, haftowany paciorkami brązowymi i związany na podbiciu na dużą kokardę z brązowej atlasowej wstążki, 4 i pół cent. szerokiej, której brzegi zdobią paciorki.

Rycina 15 przedstawia pantofelek z czarnej błyszczącej skóry, ozdobiony haftem z złotych i stalowych paciorków, ciemnych kamyków; dwie kokardki z atlasu zdobią pantofelek podług ryciny.

Rycina Nr 16 przedstawia trzewiki ze złożonej skóry, na francuskim obcasie, z wysoką z tyłu cholewką, sznurowany na podbiciu i przyozdobiony kokardą z wstążki i złotych paciorków.



Nr 19. Kostium sukienny. Przód. (Do ryc. 12)

Nr 20. Kostium sukienny. Plecy. (Do ryc. 13)

Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10

Przepisy gospodarskie.

Modny torcik czekoladowy.

Od jakiegoś czasu ukazały się w pierwszorzędných cukierniach, torciki czekoladowe z opłatków, które jednak najłatwiej zrobić w domu. Kupić w cukierni 5 sztuk okrągłych opłatków zwanych „karlsbadzkimi”, słoiczek sorbetu czekoladowego w składzie owocowym Emilii (Marszałkowska na Zielonym placu), układać opłatki na okrągłym półmiesieczku, na którym położyć pod spód arkusz papieru wyciętego z ręcznie, smarując każdy wafel owym czekoladowym sorbetem — na wierzchu zaś polać lukrem czekoladowym, zrobionym w następujący sposób: Cwierć funta czekolady, ćwierć funta cukru, pół kwaterek słodkiej śmietanki i małą łyżeczkę od herbaty młodego masła, zagotować na wolnym ogniu ciągle mieszając, dać się wygotować do połowy, a gdy się zaczyna ciągnąć i stanowi jednolitą masę, zdjąć z ognia i gorącą posmarować nożem, złożone na talerzu opłatki, a polewa skrępnie się zaraz. Robiąc jeden torcik nie ma wielkiej oszczędności — na dwóch jest już wielka różnica w cenie — bo słoik sorbetu wystarcza nawet więcej, jak na dwa torciki, a polewa z ćwierć funta czekolady wystarcza także na dwa.



Nr 21. Serweta krzyżowym ściegiem. (Do r. 25, oraz r. 9 w B. Nr 4).

Można nawet zamiast sorbetu, posmarować tą samą polewą, należy wtedy zrobić masę z pół funta i gdy się dobrze zagotuje, podzielić na dwie połowy, jedną przestudzić i smarować opłatki, a drugą wygotować i smarować jak wyżej, zupełnie zgeschoną na gorąco. Pewny zupełnie przepis. Torcik taki z pięciu opłatków, kosztuje w cukierni 75 kopiejek.

L. C.

Obiad na Niedziele.

1. Puree z kartofli.
2. Polędwica okładana cebulkami, duszonemi grzybami suszonemi na słońcu — ze śmietaną i makaronem.
3. Pularda z kompotem.
4. Suflet cytrynowy.

Odpowiedź Pani Jachim...

Gorsety najlepsze są w składzie „Marie” róg Niecałej Nr 1 i „Au bon marché” Miódowa Nr 6. Miara bierze się: obwód w pasie, w piersiach i długość stanu na centymetry.

Opis ryciny Nr 21 i 24 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na Tablicy krojów dołączonych do dzisiejszego Nru.



Nr 22. Znak do białyny.



Nr 23. Znak do białyny.



Nr 24. Znak do koszyków i t. p. płaskim, dziergającym, pocztowym, Holbeina i rybiej łuszczyki ściegiem.

Objasnienie znaków: ciemno-brązowy, jasno-brązowy, 40.

Nr 25. Czwarta część środkowego deseni ryc. 21.

Objasnienie znaków: ciemno-brązowy, jasno-brązowy, 40.

Nr 26. Czwarta część środkowego deseni na serwetę i t. p. krzyżową re.